

# STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI  
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

21 lutego 1937

WARSZAWA

10 Adar 5697

Dr. M. KLEINBAUM

## Pan pułkownik ma nos subtelny...

Pan pułkownik Bogusław Miedziński, były minister poczty i telegrafów, nie bez powodu z Rządu ubył; były przyjaciel najbliższy pp. Sławka i Matuszewskiego, nie bez powodu dziś z nimi poróżniony; były tradycyjny generalny referent budżetu, nie bez powodu dziś tej zaszczytnej funkcji pozbawiony, — pan pułkownik Miedziński, bezsprzecznie najobrotliwszy, najspytliwszy i najrzeczniejszy człowiek w Sanacji, wsiadł ostatnio na konika żydowskiego, oczywiście, nie bez powodu. Pan pułkownik Miedziński nie jest żadną osobą urzędową, tylko jednym z 200 posłów tego dzisiejszego sejmu, ponad to jest dziennikarzem, polemistą, — rozprawa więc z jego wywodami, które n. b. wyrażają poglądy i nastroje przyjaźni „Gazety Polskiej”, jest najzwyklej dopuszczalna i wyjątkowo nieskrępowana.

Pan pułkownik Miedziński ma subtelny gust i doskonale wyostrzony zmysł powonienia. Odrąga go napawa obraz Kałuszyna. Nos jego wyrafinowany znieść nie może „cuchnącego zaśmiecenia” miasteczek „zażydzonych”. Pan pułkownik dzieli się ze swymi wrażeniami zmysłowymi i odruchami estetycznymi publicznie, w prasie i z trybuny sejmowej, mimo to uważa, że „nie jest to kwestia polityki, ale raczej powonienia”. Trudno — musimy, podejmując dyskusję, przyjąć subiektywne kryterium... zapachu.

Ze w Kałuszynie cuchnie, nie przeczymy. Nie trzeba wcale pułkownikowskiego nosa, żeby to poczuć i stwierdzić, — wystarcza pospolity nos żydowski. Ale CO cuchnie? — oto jest pytanie. Pan Bogusław Miedziński twierdzi: ŻYDOWSKOŚĆ cuchnie. My utrzymujemy: NĘDZA cuchnie. Można rozmaicie wykazywać słusność naszego rozpoznania, gdyby tu dówód w ogóle nie był błędny. Ale najłatwiej tego dowiesić drogą porównania. Czy pan pułkownik Miedziński był łaskaw powąchać, jak pachnie polska wioska pod Kałuszynem? Nie pola, łąki, sady, ale *chatę wieśniaczą* pod Kałuszynem, czy powąchał nasz polityczny esteta? Czy zajrzał do wnętrza, czy policzył, ile głów przypada na jedną izbę, czy sprawdził stan zdrowotny mieszkania, wody i kuchni, czy badał czystość rąk u kobiet, dojących krowy, czy poznał warunki higieniczne niemowląt i dzieci, czy pomyślał (bo gdzieżby tam estecie rekoma tego się dotknął!) o stanie zawiązania ludności wiejskiej i o wielu podobnych jaskrawych zjawiskach nie estetycznych? Czy próbował kiedyś w chłopskiej izbie wciągnąć głęboko powietrze przez szlachetny swój nos? — Niewątpliwie znane są panu pułkownikowi te wszystkie wrażenia, ale gdyby miał je opisać, określiłby je najpewniej, jak każdy uczciwy człowiek, mianem zawierającym pierwiastek bólu, gorzycy i sympatii: *nędza* wsi. Gdy jednak charakteryzuje podobne zjawiska w żydowskim miasteczku, zło przypisuje nie stanowi rzeczy, lecz mieszkańcom. A to już jest nieuczciwe. Jak nieuczciwością jest zwalenie winy na Żydów za niekorzystne dla miasteczek b. zaboru rosyjskiego porównanie z miasteczkami b. zaboru pruskiego, gdyż ten sam wynik osiągnie się z zestawienia osiedli wiejskich tych dwóch dzielnic, — logika dyktuje, że tu winę ponosi jedynie zaborca. Naocznie przekonano się o tym można, porównując stan kulturalny dwóch jednakowo „zażydzonych” miasteczek: Dobrzyńa n. Drwęcą i Golubia, oddzielonych jedynie rzeczką, dawną granicą dwu zaborów. Przechodzi się przez krótki mostek, a odnosi się wrażenie, jakby się przeszło z Azji do Europy, chociaż Golub nie był mniej żydowski od Dobrzyńa.

Nędza cuchnie, panie pułkowniku. Nędza zaś panoszy się zwykle tam, gdzie jest ucisk. Żyd z Dobrzyńa gniebiony był całe życie przez carskiego policmajstra, a Żyd w Golubie był emancypowany. Tu jest sedno sprawy. Nie rasa cuchnie, nie Żydzi z Kałuszyna i Siedlec cuchną, lecz nędza — powtarzamy. Za nędzę zaś, za jej smród, za ubóstwo odpowiadają — na całej przestrzeni dziejów powszechnych — ci, co rządzą. Za „cuchnące zaśmiecenie” miasteczek i wsi dawnego zaboru carskie-

go odpowiada dawna władza carska. Zmienić to można tylko przez zmianę obiektywnych warunków, a nie przez bałamutne gadanie o zmianie mieszkańców.

Rzucił Pan w Żydów bumerangiem, panie pułkowniku łaskawy.

Pan pułkownik Miedziński jest jednak nie tylko esteta, ale i wytrawnym politykiem. I w tej swojej właściwości powiódł w Sejmie i napisał w Gazecie:

— „Żydów w Polsce jest z a d u ż o — i to grubo za dużo... Nadmiar ludności żydowskiej w miastach i miasteczkach b. zaboru rosyjskiego powstał wskutek planowej i złośliwej akcji rządu rosyjskiego. Stanowią oni (Żydzi) patologiczną narośl na strukturze naszego życia”.

Teoria, że Żydzi w b. zaborze rosyjskim są elementem napływowym, wobec którego nie istnieją żadne „moralne zobowiązania”, jest fałszywa i kardotonna. Państwo Polskie przejęło w chwili odzyskania Niepodległości także pewne terytoria o charakterze etnicznym mieszanym. Terytoria przejęte wraz z ich ludnością, przy czym ewakuacja mniejszości narodowych nie była przewidziana (jak to było np. między Grecją a Turcją), natomiast była przewidziana ochrona ich pełnego równouprawnienia (t. zw. mały traktat wersalski). Konstytucje polskie, zarówno marcowe, a obecna konstytucja, przez przyjaciel p. Miedzińskiego ułożona, postanawia nawet wyraźnie, że Państwo jest wspólnym dobrem wszystkich jego obywateli (Żydzi nie są wydzieleni, jako wyjątek). Jeśli tego wszystkiego jeszcze mało, przypomnijmy stanowisko twórców przewrotu majowego w tej sprawie, wyrażone w exposé premiera prof. Bartla z dn. 19 lipca 1926:

— „Lojalne stosowanie postanowień Konstytucji, oraz zawartych przez Państwo traktatów, najrychlejsze doprowadzenie do skutecznego uregulowania spraw przynależności państwowych, oto

szereg zadań, które Rząd pragnie podjąć w interesie mniejszości narodowych”.

Pan pułkownik Miedziński powinien ten ustęp uważnie przeczytać. Tu mowa jest o „ostatecznym uregulowaniu spraw przynależności państwowych”. Dziś ta sprawa jest już uregulowana ostatecznie. Ostatecznie! Komu ówczesny i dzisiejszy minister spraw wewnętrznych, generał Sławoj - Składkowski, nadał polskie obywatelstwo po długim i skrupulatnym badaniu i namyśle, temu pan poseł Miedziński paszportu z kieszeni już wyjąć nie zdoła. W protokołach posiedzeń sejmowych z pierwszego okresu po Maju znajduje pan Miedziński oświadczenie dzisiejszego Premiera, że nadał obywatelstwo około 600 tysiącom Żydów na Kresach Wschodnich. Cyfra ta została przez posłów żydowskich zakwestionowana, ale tu nie o liczbę chodzi, a o fakt, że to Rząd pomajowy zrobił, i że się tym chwalił.

A pan pułkownik Miedziński ma jeszcze odwagę twierdzić, że się w stosunku do kwestii żydowskiej nie zmienił. Przypomnijmy więc, że we wspomnianym exposé była też mowa o bałacie z czasów zaboru rosyjskiego, ale wówczas tym bałastem nie byli Żydzi, jeno... ograniczenia prawne, przeciw Żydom wymierzone. Pierwszy premier pomajowy oświadczył:

„Rząd stwierdzi w drodze właściwej, że wszystkie ograniczenia prawne Żydów, wydane przez dawne władze zaborcze, są zniesione, i do ludności żydowskiej stosowane nie będą”.

Jakoż nie przypominamy sobie, aby pan Miedziński kiedykolwiek protestował, bądź przy składaniu tego przyrzeczenia przez Rząd, bądź przy jego wykonaniu w drodze ustawodawczej. Nikt wtedy teorii elementu napływowego, narzuconego złośliwie przez carat, nie wysuwał.

Mowa programowa Przewrotu Majowego, wygłoszona przez prof. K. Bartla, zawierała jeszcze inne, mocniejsze akcenty w sprawie żydowskiej i mniejszościowej w ogóle:

„Rząd nie pozwoli, aby słuszne prawa obywateli narodowości niepolskiej na szwank były narażone, mniemam bowiem, że zwalczanie jakiegokolwiek kategorii obywateli za ich język lub wiarę sprzeczne jest z duchem Polski”.

„Rząd zmierzać będzie do łagodzenia tarć na gruncie narodowościowym i wyznaniowym i do wytworzenia harmonijnych warunków współżycia ludności różnych narodowości i kultur”.

„Wychodząc z założenia, że antysemityzm gospodarczy jest szkodliwy dla Państwa, Rząd uważa za konieczne przestrzeżenie w zakresie swego działania zasady bezstronności i słuszności, bacząc, aby zwłaszcza w zakresie podatk. i kredytowym, a także w zakresie kredytów produkcyjnych, kierowano się wyłącznie względami rzeczowymi, nie zaś względami narodowościowymi i wyznaniowymi”.

Owszem, owszem. Tak a nie inaczej stawał sprawę żydowską Przewrót Majowy. Na podstawie informacji autentycznych stwierdzić możemy, że szczególnie ostatni ustęp przedstawiony został s. p. Marszałkowi Piłsudskiemu do zatwierdzenia i aprobaty uzyskał. A dziś, po dziesięciu latach, wszystko przemawia za tym, jakby to już pana pułkownika Miedzińskiego, ani nie obowiązywało, ani nie obchodziło wcale.

Dziś pan pułkownik Miedziński propaguje w swym klubie dyskusyjnym nacjonalizm radykalny. Dawniej żonglował ideą państwową. Dawniej „Gazeta Polska” głosiła, że w czasach niewoli podmiotem myśli i działania Polaka był Naród, ale w Polsce Niepodległej tym podmiotem być może tylko Państwo, że trzeba mniejszości związać z Państwem, jak najserdeczniej, jak najtrwalej; że jedynie asymilacja państwowa (nie narodowa) zapewni w Polsce spójność wewnętrzną i t. d. i t. d. Nie wchodząc w ocenę ówczesnej ideologii Sanacji, stwierdzić tylko wypada, że hasła, dzisiaj przez p. Miedzińskiego głoszone, są owej ideologii zaprzeczeniem. Sanacja przeżywa nie tylko

proces organizacyjnej dekompozycji, ale i proces infiltracji założeń ideowych Endecji, którymi już napęczniała, przekroczywszy daleko, daleko stan nasycenia.

Pan pułkownik Miedziński bagatelizuje — i słusznie — różnice między Piłsudskim a Dmowskim z r. 1905, ale przemilcza wydarzenia lat ostatnich (grudzień 1922, maj 1926, czerwiec 1934), rzuca na wszystko zasłonę. Toteż prasa endecka i oenerowska święci triumfy, i ma ku temu wszystkie dane. Poprostu wyostrzonym zmysłem powonienia wyczuł nasz esteta, że nacjonalizm radykalny i antysemityzm, to w r. 1937 dobry interes, to skuteczna ucieczka przed politycznym bankrutem.

W organie p. Miedzińskiego w przeglądzie prasy napisano przed kilkoma dniami, że Żydzi są przeczuleni na punkcie antysemityzmu. Możliwe. Ale czy przystoi o tym pisać „Gazecie Polskiej” w czasie, gdy w bliskich jej serca ciałach ustawodawczych usanowane bakony kręcą się ustawicznie dokoła hasel antyżydowskich, jak kot naokoło własnego ogona. Gdy nie ma budżetu, resortu, ustawy, gdzieby nie wylazła kwestia żydowska prawie zawsze na czoło, wtedy prawić o żydowskim przeczuleniu nie wypada głównemu winowajcy.

Jeśli o nas chodzi, to my się do przeczulenia in puncto: antysemityzmu — nie pozwujemy. Nie mogliśmy się rozczarować do p. Miedzińskiego, ani do jego przyjaciół, bo do nas nawet ich dawne piękne słowa nie przemawiały. Szybkośmy się na wartości tych słów pozanli. Nie mogliśmy jedynie spokojnie przejść do porządku dziennego nad jawnym pozowaniem estety i prostolinijnego ideologa.

Człowiek prostolinijny przyznałby się otwarcie do przyjęcia wiary endeckiej. Prawdziwy esteta wyczułby na pewno, że gorzej niż nędza Kałuszyna, klóci się z dobrym smakiem i powonieniem, koniunkturalność ideologii i zmienność politycznego credo.

## CZARNE NA BIAŁYM

Dnia 12 listopada 1918 roku, w pałacu Kronenberga w Warszawie złożył I Grijnbaum — w imieniu Centralnego Komitetu Organizacji Syjonistycznej w Polsce — Komendantowi J. Piłsudskiemu deklarację programową, w której m. in. czytamy:

„Partia Syjonistyczna, która widzi rozwiązanie wszechświatowego problemu żydowskiego w odbudowie żydowskiego centrum narodowego w Palestynie... dążąc do urzędzenia życia żydowskiego w krajach, w których Żydzi mieszkają zwartymi masami, na zasadach samorządu narodowego, — powtarza raz jeszcze uroczyście swe niejednokrotnie oświadczenia, że gotowa jest współdziałać w odbudowie Rzeczypospolitej i w utrwaleniu w niej rządów demokratycznych, na woli ludu opartych”.

Dnia 24-go lutego 1919 roku odczytał poseł Grijnbaum w Sejmie Ustawodawczym deklarację, z której przytaczamy ustęp najistotniejszy:

„Jako obywatele Państwa Polskiego, pracować jak najgorliwiej pragniemy nad odbudową wolnej potężnej i szczęśliwej Polski — Polski sprawiedliwej, która na ludowładztwie, sprawiedliwości społecznej, faktycznej równości wszystkich obywateli, na uznaniu żydowskiej mniejszości narodowej i przynależnych jej praw, istnienie swe i rozkwit opierać będzie”.

W sierpniu 1919 roku powziął IV Zjazd Organizacji Syjonistycznej w Polsce następującą uchwałę:

„Zjazd znajduje, że i na przyszłość posłowie syjonistyczni powinni we wszystkich sprawach ogólnych, politycznych i społecznych iść ręką w rękę z partiami lewicowymi, które dążą do odbudowania Państwa Polskiego na zasadach ludowładztwa i sprawiedliwości społecznej”.

W grudniu 1922 roku w rozstrzygającym

głosowaniu na Prezydenta posłowie, reprezentujący C. K. Org. Syjon., jak zresztą cały Blok Mniejszości Narodowych, oddali swe głosy na kandydaturę lewicy polskiej, prof. Gabriela Narutowicza. Chyba wszczęła przeciw Narutowiczowi bezprzykładną hecę, nazywając Go „żydowskim prezydentem”. A „Kurier Warszawski” pisał wówczas nie bez złośliwości i szyderstwa o „sojuszu Witos — Thugutt — Grijnbaum”. Pierwszy Prezydent odrodzonego Państwa padł ofiarą na ołtarzu współpracy demokracji wszystkich ludów Rzeczypospolitej, padł ze zbrodniczej ręki głosicieli bezprawnego hasła, czysto polskiej większości — hasła, odmawiającego Żydom prawa współudziału w życiu państwowym.

Dnia 4-go lipca 1925 r. niektórzy przedstawiciele Koła Żydowskiego podpisali sławną „ugodę” polsko-żydowską z endeckim rządem Władysława i Stanisława Grabskich. Organizacja Syjonistyczna w Polsce ostro tę ugodę zwalczała, a poseł Grijnbaum zdecydował się nawet na wystąpienie z Koła na znak protestu przeciw, ugodzie z antysemickim i reakcyjnym rządem.

Przewrót majowy położył kres walce dokoła ugody. Organizacja, która wraz z wszystkimi żywiołami demokratycznymi w kraju powitała przewrót, pierwsza bodaj odwróciła się od Sanacji, skoro tylko okazało się, w jakim kierunku zmierzają stercy nowego obozu. Już w r. 1927 poseł Hartglas oświadczył z trybuny sejmowej:

„Nasz stosunek do Rządu, wszystko jedno do jakiego, streszcza się w jednym hasle, za którym będziemy zawsze szli: po czynach ich poznać je. My możemy czekać na ich czyny i możemy być bardzo cierpliwi, ale i nasza cierpliwość ma także granice”.

Jeszcze dobitniej dał wówczas, w r. 1927, wyraz rozczarowaniu do regime'u pomajowego poseł Grijnbaum, który już ówczesnemu rządowi zarzucał uleganie presji ze

strony prawicy, i zakonkludował (cytuje my według stenogramu sejmowego):

„Już niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę, że Rząd obecny wypełnia samobójstwo i sam własnymi rękoma grzebie wszystko, co miało być wynikiem i zdobyczą przewrotu majowego”.

Rok 1928. Na ulicy żydowskiej walczą dwa główne bloki wyborcze. Grijnbaum stał na czele bloku opozycyjnego, antysanacyjnego (nr. 18). Przeciw niemu ukstałował się po raz pierwszy B.B.Z., a ponieważ w ubiegłym tygodniu tę nazwę zakwestionowano, przypomnijmy jej znaczenie: „Aguda”, folkisi Przyłuckiego, kupcy Wiślickiego; dwaj czołowi kandydaci tej listy (nr. 33) jednocześnie figurowali na liście B. B. (nr. 1.) nazwa B. B. Z. jest zatem najzupełniej ścisła. Mimo represji i szykan (w Warszawie np. nie zezwolono nr. 18 na odbycie ani jednego publicznego zgromadzenia przedwyborczego) odnieśliśmy wówczas zwycięstwo. Lista B.B.Z. nie zdobyła ani jednego mandatu, nie żyjący już dziś posłowie Kirszbraun i Wiślicki weszli wprost z listy państwowej B. B. z łaski pułk. Sławka. Przeciw tym rządowym posłom, jako też przeciw nigdy nie zdecydowanym syjonistom małopolskim, grupa parlamentarna, kierowana przez posła Grijnbauma, prowadziła wyraźną politykę opozycyjną.

Już przy wyborze marszałka Sejmu rysowały się dwie linie polityki żydowskiej: grupa b. p. dr. Reicha oraz posłowie B. B. Z. oddali głosy za prof. Bartlem, grupa zaś posła Grijnbauma — za Ignacym Daszyńskim.

Stanowisku naszemu w dramatycznej walce między Rządem a Sejmem w latach 1928—1930 dał wyraz poseł Grijnbaum dn. 29-go marca 1928 r. w przemówieniu sejmowym:

„...będziemy ze wszystkich sił bro-



Jak się dowiadujemy, Rector Bergmann w pierwszych dniach marca b.r. przybywa do Polski.

(Dokończenie na str. 2-giej)

# WYDARZENIA I ODGŁOSY

## Harce żydowskiego faszyzmu

To, co czynią młodzi rewizjoniści z t. zw. „Nowej Organizacji Syjonistycznej” (N. O. S.) jest asymilowaniem ducha złych czasów, które przeżywamy. „Wodzostwo” stało się modne, a Włodzimierz Żabotyński i jego „wodzem” narodu żydowskiego. Wprawdzie dowodzi on tylko garstką młodzieży żydowskiej, ale proklamuje wojnę domową na całego. Zgodnie z słynnymi wzorami innych „wodzów”, tworzy sobie prywatną armię — bez broni. Armia ta walczy palkami i pięściami. Pogrom w Wydziale Palestyńskim, napad na Agencję Żydowską w Jerozolimie — oto wyczyny wychowanków „Fueh-rera”.

Wszystko to jest asymilowaniem ducha krańcowej prawicy i metod z carskich czasów. Szczególnie zaś brzydkie jest wznowienie przez rewizjonistów okrzyków: „precz z żydo-komuną”, czyli demonstracyjne wysuwanie własnego prawnicowego nastawienia, celem demagogicznym a przed władzami nas, zwolenników Organizacji Syjonistycznej, jako rzekomych wrogów państwa i ustroju społecznego. Zawsze jest się w czyichś oczach komunistą — powiedział kiedyś Weizmann, a prawicowi ekstremiści wszystkich krajów są aż nadto skłonni do identyfikowania żydostwa z komunizmem. Jeśli jednak młodzi Żydzi świadomie czy nieświadomie robią z siebie faszystów, aby móc liczyć na względy władz, gdy występują przeciw innym Żydom, — to jest to rzecz dla nas szczególnie bolesna.

Co jest źródłem lub bezpośrednim powodem programowych wystąpień rewizjonistów? Żądają dla siebie certyfikatów emigracyjnych do Palestyny. Nie jest jednak prawdą, że nie daje się im tych certyfikatów. Organizacja Syjonistyczna wymaga jedynie, aby udzielanie certyfikatów rewizjonistom następowało indywidualnie za pośrednictwem Urzędów Palestyńskich. Agencja Żydowska zastrzeża sobie wybór kandydatów. Gdyby rewizjoniści podlegali Organizacji, mieliby takie same prawa współdecydowania, jak partie syjonistyczne. Agencja Żydowska czyni więcej, niż jest zobowiązana, przyznając certyfikaty proporcjonalnie ustalonej liczbie emigrantów — rewizjonistów.

Ale przypuścimy nawet na chwilę, że rewizjonistyczna N. O. S. doznała krzywdy. Czy to upoważnia ją do prowadzenia otwartej wojny, do marszów na urzędy palestyńskie, do pogromowania, do zmuszenia nas przemocą i terrorem, abyśmy na ślepo wpuszczali do kraju nieodpowiedzialne elementy, a w szczególności jednostki, które specjalnie wyróżniły się w stosowaniu metod, obcych tradycji żydow-

skiej.

Zdarzało się, i zdarza, że partie czują się pokrzywdzone, ale stosowanie gwałtu i terroru musi być w walce wyłączone. Napady na lokale instytucji społecznych są niedozwolone; prawo uznaje je za czyny karalne. Obrazy cielesne oraz złośliwe niszczenie cudzego mienia uchodzą za czyny zbrodnicze. Nie są to argumenty, ani godziwe środki przełamania woli przeciwnika. Zdradą zaś jest owo spekulowanie na sympatiach obcych elementów faszystowskich.

Droga lojalnej walki jest może trudna, ale jest to jedyna możliwa droga w żydowskiej walce wewnętrznej. „Wódz”, który tego nie rozumie, i jak król bez ziemi albo dyktator bez terytorium, i bez realnej władzy wmawia sobie, że może rozkazywać i w dodatku, posługując się metodami przemocy, ponosi sam winę tego, że świat żydowski nie bierze go na serio.

W rzeczywistości jednak przyczyną tej żydowskiej walki wewnętrznej nie jest sprawa certyfikatów. Jest to tylko pretekst. Liczba certyfikatów, przyznanych Agencji Żydowskiej w ubiegłym półroczu była ze względu na rozruchy minimalna. Tylko głupcy zatem uwierzą, że rewizjonistom akurat teraz chodzi o kolektywizm (a nie indywidualny) przydział certyfikatów. Nigdy pora nie była mniej odpowiednia po temu, jak teraz. Prowadzi się kłótnię o wartość pustego worka, gdy wszystko zostało rzucone na szalę, gdy syjonisci wszystkich kierunków muszą prowadzić zaciętą walkę przeciw nacjonalistycznym elementom arabskim, a nie w ostatniej mierze, przeciw brakowi decyzji ze strony brytyjskiego mandatariusza.

Istotną przyczyną rewizjonistycznych wybrzydzeń nie jest więc sprawa certyfikatów, ale niezadowolenie rewizjonistów z bezczynności, nieudolności i iluzoryczności „sukcesów” kierownictwa N. O. S. Jeszcze na kongresie w Wiedniu powstała „najwinniejsza” opozycja wobec „wodza”. W szeregach N. O. S. fermentuje niezadowolone. To też „wódz”, który tylko wierzy w swe mistyczne posłannictwo, a w zerknięciu się z rzeczywistością okazuje bezsilność pod każdym względem, nie może na dłuższą metę liczyć nawet na wierność swoich popleczników. Gorączkowo więc szuka sposobów ich zatrudnienia, a ponieważ nie może rozporządzać czołgami czy armatami, poprzestaje na rzucaniu hasel.

Tymczasem jednak my, Żydzi, przedstawiamy żalony obraz wewnętrznej rozdrarcia, a młodzież naszą usiłuje się sprządnąć na manowce, na drogi, które nie powinny być przez nas uczęszczane. Droga krańcowej lewicy jest szkodliwa i niebezpieczna — droga jednak krańcowej prawicy, droga faszystów, jest i haniebna i śmieszna.

Dr. Mayer Ebner.  
(Czerniowce)

## Czarne na białym

(Dokończenie ze str. 1-szej)

go do dalszego głosowania przeciw rządowemu projektom budżetowym.

Rok 1935. Żydowskie członkowie B. B. W. R. głosują za wnioskiem reform konstytucyjnych p. p. Sławka, Cara i Podolskiego, za dzisiejszą ordynacją wyborczą. Syjonisci lwowskiej z Kola Żydowskiego wstrzymują się od głosowania, co powoduje nawet rezygnację b. p. dr. Thona z prezury Kola. Konsekwencją takiego postępowania był udział w wyborach w dniu 8 września 1935. W społeczeństwie żydowskim, więcej, wśród mniejszości narodowych w ogóle było, niestety, tylko jedno ugrupowanie, które nie brało udziału w wyborach wrześniowych: Organizacja Syjonistyczna. Rada Partyną stanowisko to przyjęła dnia 30-go czerwca, a deklarację je motywującą ogłosił Centralny Komitet dnia 12-go sierpnia 1935.

Tych kilka reminiscencji politycznych musieliśmy znów wydobyc na światło dzienne wskutek pewnych wysoce niesympatycznych odgłosów prasowych z dni ostatnich. Chcieliśmy ad oculos wykazać, że: 1) orientacja polityczna Organizacji Syjonistycznej nie uległa zmianie w ciągu 18-u z górą lat Niepodległości Polski, przez cały bowiem ten czas wierna była programowi helsińskiemu z r. 1906, który dał syjonizmowi syntezę między odbudową własnej ojczyzny palestyńskiej a walką o demokrację, o równouprawnienie obywatelskie i narodowe w krajach o licznych skupieniach żydowskich (por. nr. 1 „Steru”);

2) metoda świadomego przypisywania stroniactwu, zwanemu Organizacją Syjonistyczną w Polsce, a reprezentowanemu przez Centralny Komitet Syjonistyczny, odpowiedzialności za działalność polityczną innych odtamów syjonistycznych, z tą Organizacją nie związanych, — metoda, tak często stosowana przez p. p. H. E. i W. K. na łamach bundowskiej „Folkscajtung”, jest sprzeczna z zasadami lojalności i uczciwości w walce z przeciwnikiem politycznym;

Podzielając całkowicie opinię tego syjonistycznego weterana i przywódcy żydostwa rumuńskiego, pragniemy dodać następującą uwagę.

Pogrom rewizjonistów w warszawskim Wydziale Palestyńskim przypadł na okres, kiedy całe żydostwo polskie zagrożone jest ideologią pogromowego antysemityzmu. Napad na Agencję Żydowską w Jerozolimie przypadł w okresie, gdy Jiszur znajduje się w stałym pogotowiu do obrony przed napadami terrorystów arabskich. Na wszystkich frontach życia narodowego — w Palestynie i w Diasporze — Żydzi staczają historyczną walkę z systemem brutalnej przemocy, z hegemonią siły fizycznej nad prawem. Harce wyprawiane przez rewizjonistów w Warszawie i w Jerozolimie, naśladowanie pogromujących faszystów „aryjskich” są nożem, zadany w plecy narodowi żydowskiemu w tej, tak poważnej chwili.

W każdym narodzie faszyzm jest plagą, w żydostwie jest on po prostu katastrofą. Po ostatnich popisach żydowskich „brązowych koszulek”, rewizjoniści stracili dla nas charakter żydowskiego ugrupowania, — z plagi bowiem wewnętrznej zamienili się w zewnętrzny WROGA, tworząc — jak to odważnie określił „Hajnt” w artykule M. Indelmana — coś w rodzaju żydowskiego O. N. R.

## Zeznania Żabotyńskiego

Za zeznaniem p. Żabotyńskiego przed Komisją Królewską w Londynie nikt nie odpowiada, prócz niego samego i jego co raz bardziej kurczącej się partii. Opinia syjonistyczna poczytuje jego wystąpienie, jako krok wysoce nieodpowiedzialny i praktycznie — szkodliwy.

Co się tyczy konkretnych zarzutów, skierowanych przez p. Żabotyńskiego pod adresem administracji brytyjskiej w kraju, oraz postulatów w dziedzinie imigracyjnej i agrarnej, to były one po wyczerpujących i rzeczowych, ale stanowczych oświadczeniach ekspertów Agencji Żydowskiej, zupełnie zbędne; tu p. Żabotyński zaprodukował tylko kiepskie powtórzenie tego, co już przed nim przez powołanych przedstawicieli żydowskich zostało powiedziane. Prawa zaś narodu żydowskiego do Palestyny i konieczność Siedziby Narodowej dla naszego ciemnego i rozproszonego narodu — podnieśli przed Komisją Królewską i opinią publiczną świata Weizmann i Ben-Gurion w sposób tak imponujący, że dla p. Żabotyńskiego nie pozostało nic innego, jak tylko zepsuć wrażenie tamtych dwóch historycznych enuncjacji.

Toby jednak nie było jeszcze najgorsze. Szkodnikiem sprawy narodowej okazał się rewizjonistyczny kacyk, gdy — pozbawiony poczucia śmieśności — doradził Wielkiej Brytanii, by sobie „ewentualnie” poszła z Palestyny na zbity łeb, ustępując mandat innemu mocarstwu. Trzeba być analfabetą politycznym, by przypuszczać, że w obecnej konstelacji międzynarodowej istnieje jakkolwiek możliwość zmuszenia Anglii do opuszczenia tego wybrzeża nadśroziemnomorskiego, w którym zbiega się tyle arterii o pierwszorzędnym dla Imperium znaczeniu strategicznym i ekonomicznym. Jeśli znów prorok „brunatnych koszulek” o tym wie, to nie mógł nie rozumieć, ile szkody przynosi jego nieodpowiedzialna gadanina.

Niesmak budziło — zapewne też w polskich kołach rządowych — przeciwstawienie rządowi brytyjskiemu rządu polskiego, któremu przypisuje gorące pragnienie sprawiedliwego rozwiązania kwestii żydowskiej w myśl znachorskich recept p. Ż. Społeczeństwo żydowskie w Polsce musiało ten występ rewizjonistycznej primadony przyjąć, jako — na szczęście pozbawione ciężaru gatunkowego — zdezawuowanie opozycji żydowskiej wobec polityki emigracyjnej p. min. Becka. Aplauz zdobył p. Ż. jedynie u sławetnego adw. Kowalskiego, który w łódzkiej radzie miejskiej, z rozrzewnieniem zawołał: „Jeden Żabotyński nas rozumie!”

Wreszcie — kwestia arabska. Tu szkodnictwo rewizjonizmu okazało się największe. Agencja Żydowska na podstawie uchwały XVII Kongresu Syjonistycznego stoi na stanowisku, że stosunki pomiędzy obydwojoma narodami na ziemi palestyńskiej powinny się tak ułożyć, „by żaden naród nad drugim nie panował, ani też przez drugi opanowany nie był.” Jest to formuła jednomyślna całego ruchu syjonistycznego. Zeznania zaś p. Żabotyńskiego, jak sędzić można z relacji agencji telegraficznych, szły w kierunku przyznania Żydom pozycji narodu panującego — pozycji, zbliżonej do wzoru „narodu-gospodarza”. Musimy dlatego kategorycznie odrzucić tezę p. Szwalbego, jakoby w dziedzinie rozseceń politycznych nie było żadnych różnic między Żabotyńskim a Ben-Gurionem. Różnice, i to bardzo głębokie, istnieją nie między rewizjonizmem a socjalistycznym tylko syjonizmem, lecz między

rewizjonizmem a syjonizmem w ogóle. Inna rzecz, że „zaborcza” i wrzaskliwa polityka rewizjonizmu prowadzić musi w rzeczywistości do uszczuplenia naszych możliwości w Palestynie, podczas gdy organiczna i odpowiedzialna polityka syjonizmu ma już za sobą wielkie zwycięstwa, a przed sobą wielkie perspektywy.

Ale szkoda słów. Pan Żabotyński jest człowiekiem straconym — na zawsze. Po równi pochyłej stacza się co raz bardziej w dół, i nie już go nie powstrzyma. Nawet admocja brytyjskiego ministra kolonii, który mu publicznie wytknął fatalny odźwięk pogromowych jego wyczynów, ani też ironiczne pytanie lorda Peel'a, czy on właśnie — Żabotyński — cały rozum polknął...

## Lwów i Kraków

Na konferencjach ogólnych syjonistów (grupy B.) Małopolski Wschodniej i Zachodniej zapadły uchwały, wypowiadające się za demokracją, parlamentaryzmem, współpracą z lewicą polską i t. d.

Z całego serca witamy zwrot w orientacji tego odtamu syjonistycznego, który do niedawna jeszcze utrzymywał, że między Edeją a Sanacją, woli tę drugą, jako „mniejsze zło”. Teraz widocznie i w kołach egzekutywy lwowskiej i krakowskiej uznano, że każde zło jest złem, i że na „ilościowych” stopniowaniach zła budować polityki żydowskiej nie można. Cieszy nas też, że orientacja nasza na demokrację

polską, stale przez posła Gottliba wysmieniana, została przez posła Sommersteina wysunięta na konferencji lwowskiej, i w postaci rezolucji przyjęta.

Co jednakowoż mać naszą satysfakcję, to wyraźne niedomówienia zarówno we Lwowie, jak i w Krakowie. Tu i tam pominięto drażliwą kwestię: za utrzymaniem regime'u, czy za jego likwidacją? Tu i tam uniknięto wyprowadzenia wniosku: skoro orientacja na demokrację, na lewicę polską, to trzeba stanąć obok tej lewicy, a więc trzeba wyjść z ulicy Wiejskiej. Trzeba, i to koniecznie trzeba. Były głosy delegatów, które się tego domagały, ale poseł Sommerstein wołał tych głosów nie słyszeć i nie usłuchać. Nawet w Krakowie po za platoniczną rezolucją — nic; do konkretyzacji nie doszło.

A bez odważnej odpowiedzi na drażące zagadnienia, bez czynów jako konsekwencji słów — nie ma podstawy do współpracy z prawdziwą demokracją. Zaczekamy.

## Lech i Sem

Lech i Sem w jednym stali domu i t. d. „Lech” napisał: nie mamy potrzeby się obawiać żydostwa światowego, bo mamy u siebie przeszło trzy miliony żydowskich zakładników.

A Sem mu na to: poza granicami Polski ile milionów żyje Lechitów?

Z tej to powiastki morał w tym sposobie: jak ty komu, tak on tobie...

## MAŁE FELIETONY

### Artykuł czy paragraf?

Chlubą palestry jest pan Jędrzej Krzykuł, Ozdobą kraju i sławą Warszawy;

Pan Chaim Magraf — też znanym prawnikiem,

Kolega Jędrka jeszcze z szkolnejawy.

Krzykuł z Magrafem, dwaj wielcy prawnicy,

Każdy z nich nie mniej od drugiego sławny,

Raz żywy udział wzięli w polemice

U bardzo zawiłej, trudnej kwestii prawnej

O sławkę ważną toczyła się tu gra,

Której domiosłość sam każdy oceni:

Co, czy Artykuł, czyli też Paragraf

Większe na świecie ma dzisiaj znaczenie?

Magraf dowodzi, że tylko Paragraf,

Krzykuł znów krzyczy, że właśnie Artykuł

I by pokazać, że jest w błędzie Magraf,

Jakiś poślizgł pcha mu w nos faszcykuł.

Magraf się ciska i z gniewu się pieni,

Z togi swej szereg wyszarpując agraf,

Jakoweś dziełko wyciąga z kieszeni.

Gdzie jak drut stoi, że właśnie Paragraf.

„Co wy tam wiecie!” — burza się Krzykuł

„Ja umiem więcej, bo wszystko wykulem,

„Jam komentarze i kodeksy wykulem,

„Artykuł kulem za artykułem.

„Ale, gdyś zdawał!” — mówi Magraf czule

„To już przy pierwszym bodaj paragrafie”

Tak kpi zeń w oczy — „osiadł”, Krzykuł,

Niby dziurawy parowiec na rafie”.

„Cóż z tego? kodeks weź” — Krzykuł od-piera—

„Spójrz, jak się dzieli: wpierw na Artykuły,

Na Paragrafy zaś później dopiero.

Nie śmiesz negować chyba tej reguły?”

„A jednak” — rzecze Chaim z miną gniewną —

„Paragraf rządzi, nie żaden Artykuł.

Życie przekona cię o tym napewno,

Choć w budzie czegoś innego się wykul”.

„Dowód!” — tu krzyknie rozjuszony Krzykuł —

„Dowód daj!” — krzyknie — „Daj dowody, Magraf!

„Wszak mówisz: pierwszej potrzeby artykuł,

A nigdy — pierwszej potrzeby paragraf.

Ja dalem dowód, że właśnie Artykuł

Jest czymś w systemie, jak baron, czy jak graf,

A nie dopiero niższym urzędnikiem,

Jak ten twój szczeniak, ubogi Paragraf.”

„Chętnie dam dowód” — rzecze na to Magraf—

„Ze nie Artykuł u nas w kraju znaczy,

Lecz, że największą ma władzę Paragraf

I wśród motłochu, i wśród działaczy.

Patrz: artykuły Konstytucji przecie

Lśnią praw równością i wolną nauką.

A Żydom jednak w Uniwersytecie

Paragrafami Aryjczycy tłuką...

Patrz: zakazuje Artykuł!” — dowodzi —

„Nawet rzeźnego mordować bydłaka,

A paragrafów wykryto skład w Łodzi,

Podczas rewizji w mieszkaniu Antczaka.

Cóż Antczakowi więc po artykułach?

On ma Paragraf i tym Żydów łupi.

Z przepisów, prawa wysmiewa się w kulak,

A, przyczasz chyba, wcale nie jest głupi.”

Na takie dictum gniew bierze Krzykuł,

Chwył z pod stołu żelazny paragraf,

Rzwał w łeb kolegę — mgła oczy zasnuła

I krwią zalany upadł Chaim Magraf.

I już w agonii, stygnącymi wargi, ..

Gdy paragrafem kul go jeszcze Krzykuł—

„Przecież mówiłem!” — szepnął tonem skar-gi —

„Paragraf rządzi, ale nie Artykuł...”

BEN - LEU!

## Obrona konieczna

Było to (względnie mogło być) w roku którymś tam, licząc od narodzenia rasizmu, kiedy masło już dawno zastąpione zostało przez armaty i dowcipnie zamiast „masło maślane” mówili „mieśno armatnie”. Utedy to postanowiono — w myśl programu duchowego dokarmiania obywateli, wciąż jeszcze źle trawiących chleb ze słomy i masło z odpadków stalowych — zrewidować proces Kaina. Poczucie prawne społeczeństwa „rasowych” dawno już zresztą buntowało się przeciw great-propagandzie żydowskiej, przedstawiającej w fałszywym świetle czyn Pierwszego Zabójcy.

„I tak się stało, że ongiś surowo potępiony Kain stanął przed trybunałem rehabilitacyjnym. Znamię na czole przykrył ukośnie zaczesanym kosmykiem włosów. I rzekł:

— Tak jest, zabiłem go, tego Abła, którego sentymentalna, pacyfistyczna żydowska banda nazywa moim „bratem”. On nie był moim bratem. Ja nie pochodzę od tego semity, Adama. Proszę oto dowody, z posiadania których jestem dumny: moim dziadkiem był wąż! Abła zaś zabiłem, działając w obronie koniecznej.

— Czy został pan bezpośrednio zaatakowany?

— Szczerze mówiąc — nie. Ale, do licha, prowokował mnie wujcz. Taki był ciągle spokojny, uśmiechnięty. To może doprowadzić człowieka do wściekłości. Samo istnienie tego miękczaka i pacyfisty było prowokacją. Nie podzielał mojego zamówienia do łowów, gromadził bogactwa i służył Bogu. Czy nie musiałem go wobec tego zabić? Czy nie była to obrona konieczna? Jak on mnie prowokował! Nawet kiedy go zdziliłem kłonicą i słabą jego czaszka pękła, zapytał w bezczelny sposób: Bracie, dlaczego? Jak to dlaczego? Dlatego, że był, że stał na tej ziemi, na tej ziemi, której mi za mało dla łowów, że oddychał powietrzem. moim powietrzem!... Dopiero po drugim razie, mocniejszym, zamikł, ale w oczach jego było jeszcze tyle bezczelnego zdziwienia... Co było później — o tym panowie wiedzą. Ach, ta historia z tą „krwią, krzyczącą o pomstę do nieba”. Przecież to był zorganizowany krzyk światowej Żydo-komuny. Ile ja wycierpiałem, ja, który dalem ludzdom najcenniejszy dar — śmierć!...

Wyrok sądu jest surowy. Ale jesteśmy już, proszę państwa, na dobrej drodze do rehabilitacji Kaina, do uznania, że działając w obronie koniecznej — Kainiczej.

ESQUIRE.

**Dr. Hugo Bergmann**

Rektor Uniw. Hebr. w Jerozolimie.

**JEDNOSTKA A NARÓD**

W dniu dzisiejszym upływa 15 lat od śmierci A. D. Gordona. Imię Jego zostało na zawsze związane z Palestyną Pracującą, której w sposób najbardziej szlachetny poświęcił swe życie, jako robotnik i chaluw w Deganiu. W ciągu lat zmniejszyła się relatywnie liczba tych z pośród nas, którzy osobiste odczuli ciepło i intymność Jego osobistości. Na dzisiejsze pokolenie może On wpływać tylko za pośrednictwem pozostawionych prac i artykułów. A trzeba wiedzieć, że lektura Gordona nie należy do łatwych. Nie był wytrawnym pisarzem, ale warto Go czytać; kto Go dziś znowu weźmie do ręki, ulegnie zdumieniu, jak bardzo stał się aktualny. Naszym zadaniem jest próba przedstawienia Jego systemu (jeśli w ogóle można mówić o systemie u tego tak mało wykształconego, a tak bezpośredniego człowieka), t. j. poglądów na *jednostkę i naród*.

Duchowy świat Gordona obracał się między tymi dwoma biegunami. Nikt z pośród nas nie ocenił tak, jak On, wartości duszy jednostki, nikt tak silnie nie broił jej przed próbami kolektywizacji wszelkiego rodzaju. W oczach Jego rozwój rodzaju ludzkiego jest zależny od wzajemnego oddziaływania tych dwóch momentów. Im silniej, głębiej i bogaciej rozwinięta jest indywidualność jednostki, tym żywsza i głębsza będzie indywidualność narodu. Jednostki są wyrazem ducha narodu i jego specyficznych cech, oddziałujących go od świata zewnętrznego, naród zaś jest pośrednikiem pomiędzy duszą jednostki a życiem wszechświata. Naród porównywał Gordon do lejka, którego strona szeroka zwrócona jest do nieskończonego wszechświata, podczas gdy strona wąska jest skierowana ku indywidualności. Wszystko sprowadza się do tej jednostki. Jak opowiada żydowska legenda, anioł śmierci jest istotą o niezliczonej ilości oczu. Gordon nadaje temu porównaniu inne znaczenie: życie ma niezliczoną ilość oczu, jednostki — są oczyma świata. W wymianie listów pomiędzy Gordonem a Brennerem wyraziły się różnice dwóch światopoglądów. Brenner akcentuje moment ogółu i widzi wszystkie słabe strony naszego bytu, jako bolączki narodu żydowskiego. Gordon zaś widzi nasze bolączki i nasze nadzieje w *jednostce*. „Nasze odrodzenie narodowe nastąpi tylko za pośrednictwem jednostek, gdy te przyswoją sobie wielkie ideały ludzkie. Kto pragnie żydowskiego zmartwychwstania, musi przeżyć je w sobie samym”. Wyszukiwanie zadań pod adresem ogółu to w oczach Gordona — puste frazesy. Piszę bowiem do Brennera: „Czy znasz siłę jednostek, gdy są one jednostkami? Wszystkie wielkie ruchy ludzkości zostały stworzone przez jednostki. Dajcie nam takie jednostki, jeśli nawet nie są niezwykłymi ludźmi, a zobaczymy, co stworzą w Palestynie. Jednostki mogą tu stworzyć siłę, która wezwie naród do zastanowienia się nad samym sobą, do szukania miejsca swego w świecie i drogi do odrodzenia”. Przecież właśnie jednostki dokonały cudu odrodzenia języka hebrajskiego. Również przebudowa społeczeństwa może być zocajowana tylko od dołu. Reformy społeczne bez odrodzenia serca nie mogą się udać.

Takie oto zadanie narodowe przedstawia się Gordonowi, jako zadanie *wychowawcze*. Jego szacunek dla wolności jednostki jest wszakże tak wielki, że i tu widzi problem. Celem wychowania jest uwolnienie osobistości, ale czy środki wychowania nie są gwałceniem osobistości wychowanek przez wychowawcę? Gordon rozwiązuje ten problem, wyznaczając wychowawcy zadanie o bardziej negatywnym charakterze. Winien uwalniać wychowanek od przeszłości, a sam trzymać się możliwie na uboczu. Wychowawca winien budzić samopoznanie ucznia, zapalić indywidualny płomień jego duszy, wzmacniać w nim uczucie szacunku dla siebie samego i świadomość wartości jego odrębnych cech charakteru. Gdy w pierwszych latach po wojnie rząd przystąpił w Palestynie do brukowania ulic i dróg, przy czym znaleźli pierwsze zatrudnienie nowi imigranci, Gordon począł wędrować od jednego obozu robotniczego do drugiego, przysłuchiwał się wieczorami rozmowom i dyskusjom chaluwów, a potem napisał artykuł: „Moje wędrowki po szosach”. Wystąpił w nim szczególnie ostro przeciw dogmatycznej jednostronności młodych ludzi, która podważa bezpośredniość i prostotę ich nastawienia.

A. D. Gordon był religijnym myślicielem. Widać to nie tylko w tych ustępach pism Jego, które są wyraźnie poświęcone religii jak n. p. w nieskończonym niestety artykule „Nasz rachunek z religią”, albo w ustępach, w których opowiada o swoim przywiązaniu do tradycji („Religia Izraela jest mi drogą aż do głębin mej duszy, aczkolwiek nie przestrzegam przykazań w powszechnym znaczeniu, nie jestem religijny; droga jest mi także literatura rabiniczna”) — stosunek ten szczególnie silnie występuje w Jego oryginalnym poglądzie na *kosmiczne znaczenie narodu*. Gordon stworzył sobie metafizykę pojęcia „naród”, która wystarczała dlań, aby zrozumieć cielesny substrat na-

rodu, krew, jako wyraz kosmicznych założeń, dalej, aby nacjonalizm w najbardziej bezpośredni sposób połączyć z kosmopolityzmem. Naród jest dlań nie tylko jednością krwi i nie tylko jednością historyczną, lecz przede wszystkim *kosmiczną* jednością. Życie kosmosu płynie do ludzkości przez kanały — narody. Dla tego też religia, która jest wyrazem stosunku narodu do kosmosu, musi być narodowa. Każdy naród jest kanałem, przez który spływa do jednostek życie wszechświata. Dlatego naród idzie przed jednostką. Jednostka wraza się w swój naród, który obdarza ją językiem, religią, sztuką i obyczajami. I tylko z życia narodu może powstać życie jednostki, jako kosmiczno-ludzki twór. To pojęcie Gordona o narodzie daleko odbiega od małostkowego egoistycznego nacjonalizmu. „Szlachetne życie, do którego dąży dusza narodu, nie polega na odseparowaniu się

w narodowym szowinizmie. Dusza narodu tak samo, jak dusza jednostki, chce prowadzić rozległe życie, chce się harmonijnie połączyć z życiem innych narodów, chce przyjąć życie tak, jak to ono dane zostało człowiekowi przez naturę w jej nieskończoności. Zarówno naród, jak i jednostka nie żyją zatem, tylko dla siebie, lecz winny jednocześnie troszczyć się o potrzeby innych. Narodowe interesy i ideały pochłaniają więc całe życie człowieka, żadne inne ideały nie dorównują narodowym głębią, znaczeniem i wspaniałością”. Pod tym samym kątem patrzy też Gordon na dążenia do autarkii, które zaznaczyły się w latach powojennych. Dążenia te zbliżają człowieka do przyrody, wśród której żyje, i z której płyną dlań najżywniejsze sily. W ten oto sposób połączył Gordon w harmonijną syntezę pozorne sprzeczności: indywidualizm, świadomość narodową i

uniwersalizm. To kosmiczne pojęcie świadomości narodowej przeniósł Gordon do syjonizmu. W diasporze brak Żydom momentu kosmicznego, który działa tu tylko jako historyczne wspomnienie. Świadomość historyczna nie pozwala nam umierać, ale też nam nie daje nowego życia. Nasz byt narodowy musi w diasporze się zachwiać. Ponieważ nie może czerpać bezpośrednio z kosmicznego źródła, żyje tylko przeszłością albo odżywia się sokami z obcych źródeł. Pierwsze prowadzi do martwoty, drugie zaś do zupełnego zaniku. W ten sposób szukamy w Palestynie ni mniej ni więcej, *tylko życia*, dostępu do naszych kosmicznych źródeł życiowych przez naturę naszego kraju.

Z tych kosmicznych poglądów pochodzi też owo pojęcie „amadam” „narodu człowieka”, którym Gordon niezwykle wzbogacił no-

woczesny język hebrajski. Pojęcie to zawiera żądanie, by naród, tak samo, jak człowiek na podobieństwo boskie stworzony, podporządkował się również zasadom etyki. Jeżeli naród nie jest „narodem człowieka”, nie może też jednostka być człowiekiem.

Powracającemu do Ojczyzny narodowi żydowskiemu stawia Gordon następujące zadanie: „Kiedy teraz wyznaczamy swoją drogę życiową wśród żyjących narodów, zrozumieć winniśmy, że wybrać musimy drogę właściwą, że stworzyć musimy nowy naród, naród człowieka, który posiada braterski, ludzki stosunek do innych narodów oraz kult, kult życia i tworzenia dla natury. Czujemy, jak się coś tworzy nowego na dużym świecie i również w naszym świecie, czujemy to my, którzyśmy się na nowo urodzili. To nowe woła jednak do nas: *Bądźcie pierwsi!*”  
Jerozolim, 5 lutego 1937.

**Leopold Halpern**

**Droga do socjalizmu i pokoju**

Już z górą dwa miesiące dzielą nas od śmierci ś. p. Leona Wasilewskiego, ale wydaje się nam, że jeszcze nie nadszedł czas syntetycznej oceny całokształtu przebiegającej działalności politycznej, naukowej i publicystycznej Zmarłego, który był jedną z najpiękniejszych i najciekawszych postaci starszego pokolenia oraz obozu demokracji polskiej. Życie Jego — to jakby barwna ilustracja *czterdziestu lat zmagania demokracji polskiej o niepodległość Polski oraz o sprawiedliwość społeczną i narodowościową w Polsce*. Etapy tej walki są etapami drogi życiowej Wasilewskiego: P.P.S. i jej zagraniczny odpowiednik — Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich; redagowanie londyńskiego „Przedświt”; popieranie bojowej akcji P.P.S., prowadzonej przez Piłsudskiego; redagowanie nielegalnego „Robotnika”; wybór wraz z Piłsudskim do trzyosobowego C. K. P.P.S.; objęcie sekretariatu Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych; działalność cywilno-polityczna w legionach; P.O.W.; pierwszy Minister Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej; konferencja pokojowa w Paryżu i w Rydze; wice-prezes Rady Naczelnej P.P.S. w okresie pomajowym. A na tle tej bogatej działalności: kilkadziesiąt prac naukowych (przeważnie o sprawach narodowościowych), redagowanie jakich 20 czasopism i współpracę w 70 wydawnictwach, wychodzących w 10 językach...

Nie mogąc więc jeszcze pokusić się o ocenę tak bogatej działalności naukowo-publicystycznej, ograniczamy się w tym miejscu do omówienia pośmiertnej już prozury ś. p. Leona Wasilewskiego: „*O droga do socjalizmu i pokoju*” (Warszawa 1936, str. 31). Ponieważ ta nie wielka objętościowo broszura publicystyczna jest ostatnim, niestety, ogniwem w długim łańcuchu prac Zmarłego, oraz że względu na temat, któremu jest poświęcona, możemy ją traktować jako *polityczno-publicystyczny testament Leona Wasilewskiego*.

W testamencie tym autor deklaruje niezachwianą wiarę w ideę swego życia, w socjalizm: „Ze ten przyszyły ustrój, mający się tak czy inaczej wyłonić z panującego dziś chaosu, będzie *socjalistyczny*, to już obecnie dla nikogo zdaje się nie ulegać wątpliwości, tak jak nie ulega wątpliwości, że bankructwo i rozkład sąnych podstaw kapitalizmu...”

„*Jakie są jednak drogi urzeczywistnienia socjalizmu?* — stawia Autor podstawowe pytanie, będące od dziesiątek lat osiá, wokół której obraca się cała skomplikowana problematyka międzynarodowego ruchu robotniczego. Historyk Wasilewski zaczyna swą odpowiedź od krótkiego szkicu historycznego. A więc w XIX stuleciu przeważała wiara w bardzo bliski wybuch rewolucji socjalnej, pogląd ten jednak zanika stopniowo, ustępując miejsca koncepcji socjalno-demokratycznej, wprowadzenia ustroju socjalistycznego w drodze zdobycia większości w parlamentach państw demokratycznych.

Po Wielkiej Wojnie i zwycięstwie bolszewików w Rosji wiara w tę możliwość uległa w pewnej mierze zachwianiu. Ale Wasilewski z całą stanowczością kwestionuje i odrzuca celowość i realność zastosowania taktyki bolszewickiej na zachód od Rosji. Albowiem zwycięstwo bolszewików miało miejsce w wyjątkowych warunkach Rosji i dzięki zręcznemu dostosowaniu taktyki do ówczesnych nastrojów. Próby stosowania taktyki bolszewickiej w innych krajach (na Węgrzech, w Niemczech i we Włoszech) nie doprowadziły do celu, ale wręcz przeciwnie: wywołały żywiołową panikę nie tylko wśród klas najzamożniejszych, lecz także w bardzo szerokich masach drobnomieszczanstwa, chłopstwa i po części robotników.

Po stwierdzeniu tych obiektywnych faktów, Autor wyciąga wniosek, które nasuwają się logicznie: „W ten sposób bolsze-

wizm stał się nie tylko czynnikiem, osłabiającym wszędzie ruch socjalistyczny przez rozbicie jego na dwa wzajemnie zwalczające się obozy, ale jednocześnie wywołał reakcję antysocjalistyczną i antydemokratyczną na całym świecie, ułatwiając trwanie faszystów i tworząc dlań gotowe wzory do naśladowania w rozmaitych dziedzinach życia”. Autor konkluduje i stawia kropkę nad „i”: „Faszystom — to nieprawe dziecko Wielkiej Wojny i bolszewizmu...”

Pomiędzy faszystwem a bolszewizmem istnieje zasadnicza różnica: pierwszy pragnie tworzyć nowe formy ustrojowe, starając się jednocześnie uratować same podstawy *kapitalizmu*, drugi natomiast wypowiadał bezwzględnie walkę ustrojowi kapitalistycznemu i pragnie go ostatecznie wytepić przez wprowadzenie w życie — drogą planowych wysiłków — ustroju socjalistycznego. Ale przy końcowej odmienności celów bolszewizmu i faszystów, łączą je pokrewieństwo metod, stosowanych w taktyce i działalności politycznej: posługiwanie się przymusem i gwałtem, oraz zasadnicze nastawienie antydemokratyczne.

Wasilewski słusznie stwierdza, że rozmaite objawy praktyki faszystowskiej, budzące grozę etyczną, są wynikiem dyktatury — i to wszelkiej dyktatury — jako metody działania. Dyktatura (Musoliniego, Hitlera czy Stalina) tworzą mistykę „wodza” i religię jego doktryny, dążące do ekspansji. „Imperializm ten wymaga oparcia się o jak najpotężniejsze sily militarne” — stąd zasadnicza analogia wszelkich dyktatur: *zagrabiają one pokój*.

„Ale analogia metod postępowania dyktatury sięga aż do najdrobniejszych szczegółów; wykazuje to Autor, dając nam długą listę „wyczynów” różnych dyktatorów: „...centralizm i tepienie odrębności poszczególnych krajów (hegemonia Berlina w Niemczech, kasowanie autonomii „republik” sowieckich); przesładowanie i tamowanie rozwoju narodowego mniejszości na „kresach” (tepienie żywiołu niemieckiego i słowiańskiego we Włoszech; germanizacja mniejszości w Niemczech; w Z.S.R.R. bezwzględna walka z komunizmem „regionalnym” i inorodców, dyktatura Postyszwa na Ukrainie sowieckiej, niwelacja i żargonizacja języków miejscowych); propaganda, doprowadzona do skrajnego reklamiarstwa wobec każdego kroku dyktatora; kulturowanie urzędowego entuzjazmu — „Kraft durch Freude” w Niemczech hitlerowskich, propagowanie wesolości w Rosji Sow.” A dalej wstawanie „elity” szturmowców czy stahonowców, obozy koncentracyjne; GPU, Owra i Gestapo: tresowanie młodzieży (Dzieci Lwicy, Balilla, Pionierzy, Komso-moń, Hitlerjugend, Jungvolk itd., itd).

„Ale wróćmy do dróg, które mają prowadzić ku realizacji socjalizmu. Otóż drogi te uległy w wielu krajach zatorowaniu przez faszystów. Czyż więc teraz, po zlikwidowaniu w krajach tych demokratycznych możliwości ewolucyjnego rozwoju socjalizmu, partie socjalistyczne mają przejść do taktyki rewolucyjnej? Wasilewski i teraz odrzuca celowość tych metod, uważając, że miałyby one rację bytu jedynie w wypadku zalamania się reżymu, a ponieważ nie wiadomo kiedy to nastąpi, partie socjalistyczne zaniedbałyby tylko spełniania codziennych zadań wobec klasy robotniczej i uległyby osłabieniu.

Wasilewski deklaruje swe niezłomne credo ideowe: *droga do socjalizmu prowadzi tylko przez demokrację*. Do ostatnich chwil swego życia wierzył głęboko w demokrację i jej przyszość; „...demokracja, jakkolwiek ją dotknął kryzys powojenny, nie została uśmiercona, a nawet objawia zadziwiająco żywotność, która dobrze świadczy o jej przyszłości”.

„*Demokracja jest zarazem warunkiem utrzymania pokoju*”. Albowiem imperializm państw dyktatorskich (w przeciwień-

stwie do stanu nasycenia państw demokratycznych) — nigdy nie jest nasycony i pcha do wojny. Nastawienie Niemiec i Włoch jest pod tym względem zupełnie wyraźne, ale także „imperializm Rosji sowieckiej, odziedziczony po caracie, stanowi jedno z najgroźniejszych źródeł zatargów wojennych”. Pokojowa ostatnio taktyka Rosji w Europie wypływa tylko z konieczności zabezpieczenia tyłów w obliczu angażowania się na Dalekim Wschodzie.

Autor kończy swą pracę ostrzeżeniem: Historia się powtarza! „Aby się nie powtórzyła jeszcze raz w postaci krwawych wojen — na to jest jedna jedyna rada: wszechstronny rozwój demokracji i takie jej powszechne zwycięstwo (również i w

**Prof. Maks Lazerson**

**O Ligę Obrony Mandatu**

Dziś, podobnie, jak w latach 1921 i 1929-30, Mandat palestyński w swym ograniczonym sensie stoi znowu w obliczu, zagrożenia, „być albo nie być”. Nie możemy już obecnie błogo a bezkrytycznie poddawać się fetyszystycznej wierze w normy prawne, nawet wtedy, gdy są one zatwierdzone i uznane przez instancje międzynarodowe.

Wiemy, że Komisja Królewska udała się do Palestyny celem zawyrokovania, w jakiej mierze Mandat palestyński jest wcielany w życie i czy wypełnia się zobowiązania, których podjęła się władza mandatu, a także dla stwierdzenia, czy Żydzi albo Arabowie mogą wysunąć uzasadnione oskarżenia. Zadanie to przerasta poważne kompetencje poprzednich komisji; przy tym uchwały obecnej komisji mogą ewentualnie stanowić doniosły prezydent dla przyszłych rozstrzygnięć innych instancji. Mandat stał się od dawna wywalczoną pozycją całego narodu żydowskiego, pozycją, której bronić musimy przeciw wszelkim zakusom, niezrozumieniu z jej woli albo jawnej wrogości.

Walka w obronie Mandatu obejmuje w chwili obecnej trzy podstawowe zadania:

- 1) *Wzmocnienie i dalsza rozbudowa Żydowskiej Siedziby Narodowej*. Oznacza to, że we wszystkich decydujących przedsięwzięciach rządów brytyjskiego i palestyńskiego musi być wysłuchane zdanie uznanej przez Mandat żydowskiej instytucji publiczno-prawnej: Jewish Agency (Agencji Żydowskiej); chodzi tu o wszelkie sprawy, dotyczące stosunków politycznych, socjalno-ekonomicznych i imigracyjnych. Będzie to odpowiadało nie tylko literze Mandatu, a w szczególności jego ustępów oraz artykułom 4, 6 i 11, ale także treści i duchowi Mandatu jako całości. Postanowienia poszczególnych komisji, które odwiedziały co pewien czas Palestynę w imię pewnych określonych zadań, nie mogą naruszać lub ograniczać stałego udziału Agencji Żydowskiej w działalności rządu.
- 2) *Należy zwalczać jaskrawo sprzeczny z Mandatem pogląd, że imigracja żydowska wypiera Arabów*; a) formalnie, ponieważ „ułatwienie” imigracji stanowi istotną część składową Mandatu; b) merytorycznie, ponieważ błędny ten pogląd nie da się pogodzić z gospodarczym procesem odbudowy Palestyny.

Technika prześcignęła administrację, toteż wnioski i zalecenia komisji, powstałe na gruncie dawnych stosunków i porzucanych, socjalno-ekonomicznych i imigracyjnych już metod pracy, muszą siłą konieczności pozostać w tyle za kroczącym siedmiomilowymi butami, postępem. Stąd wniosek, że podstawowe zobowiązania mandatariusza nie mogą być zależne od tej czy innej komisji tymczasowej.

3) *Mandat palestyński jest i będzie po wsze czasy pierwszym publiczno-prawnym dokumentem, który uznał Żydów za naród*

integralny. W tym sensie Mandat jest i pozostanie zawsze „Magna Charta” żydostwa światowego, zarówno wtedy, gdy żydostwo nadal istnieje będzie w diasporze w postaci społeczności mniejszościowej, jak i w jego charakterze kandydata do własnej Siedziby Narodowej w Palestynie.

Dwa tysiące lat istniejąca diaspora żydowska nie zdołała stworzyć statutu prawnego, odpowiadającego temu układowi stosunków. Toteż w Mandacie palestyńskim po raz pierwszy „naród żydowski” („the Jewish people”) występuje w roli podmiotu prawa. Okoliczność ta nadaje Mandatowi *znaczenie podwójne*: po pierwsze *Mandat tworzy dla żydostwa statut publiczno-prawnie uznanej społeczności narodowej*, po drugie *Mandat reguluje publiczno-prawne i socjalno-ekonomiczne podstawy Żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie*. Z tym łączą się szereg dalszych skutków prawnych.

Niestety Deklaracja Balfoura z 2. listopada 1917 r. oraz Mandat palestyński, do którego deklaracja ta została włączona, jako „preambula”, nie znalazły zrozumienia w wyżej zakresionym sensie wśród najszerszych kół żydostwa. Rozwój ostatnich lat wykazał dostatecznie, jak doniosłe znaczenie posiada możliwość powołania się na prawa żydowskie na forum międzynarodowym. Gdyby postanowienia Mandatu palestyńskiego od chwili uprawomocnienia się zostały uznane za nacelną linię polityki żydowskiej, stałibyśmy dzisiaj w obliczu zupełnie innych zdobyczy. Biorąc to wszystko pod uwagę, uważamy za zadanie chwili powołania do życia *Ligi Obrony Mandatu Palestyńskiego*.

Liga ta winna mieć swe odgałęzienia na całym świecie. Tylko w ten sposób obowiązujące prawo żydowskie, zdobyte w okresie wielkiej koniunktury międzynarodowego ustawodawstwa, zostanie faktycznie utrzymane. Liga może i powinna nie ograniczać się do skupiania wokół siebie tylko sił żydowskich, ale także *przynależnych do innych narodów*, pragnących *działać w imię utrzymania Mandatu palestyńskiego* w ramach prawa międzynarodowego i jego instytucji.

„Dzięki temu Mandat palestyński odzyska swe prawdziwe znaczenie międzynarodowe, a zarazem ochronę przed pewnego rodzaju „prowincjonalizacją” i bagatelizacją. Mandat straci pozory przypadkowości, zyskując charakter żywotnej i decydującej pozycji rozwoju i postępu narodu.

Zadaniem Lig krajowych będzie wpływanie na społeczeństwo, prasę i rządy poszczególnych krajów w kierunku zachowania istniejącego stanu prawnego.

W walce tej o zdobycie przez nas prawo nie chodzi o sprawy partyjne albo o światopoglądowe uznanie pewnych rzeczy, ale: wyłącznie i jedynie o sprawę całego wschodniego i zachodniego żydostwa. Nostra res agitur.

# EKONOMIKA PALESTYŃSKA

Dr. Werner Bloch

## Nie ma podstaw do pesymizmu

Palestyńskie sprawy ekonomiczne, zapoznawane nieco z powodu rozruchów, poczynają znów się wysuwać na pierwszy plan żywotnych zagadnień Jiszuwu, rozważanych przez miarodajne czynniki.

Ocenę sytuacji ekonomicznej kraju dał nam w ogłoszonym ostatnio w Tel-Awivie odczycie Fritz Naftali, współpracownik Instytutu Badania Spraw Gospodarczych przy Agencji Żydowskiej. Kierownikiem Instytutu tego jest Artur Ruppin, materiały zaś, pozostające do jego dyspozycji, są tak cenne, że poglądy i wnioski współpracownika Instytutu niewątpliwie posiadają niepoślednią wartość.

Naftali przede wszystkim stwierdził, że jest wprost godne podziwu, jak *dobrze i mocno* utrzymał się w całym swym zasięgu żydowski sektor gospodarczy po roku tak ciężkich wstrząsów. Jawnym tego dowodem jest stan bezrobocia w kraju. Według obliczeń, — a niestety tylko obliczenia są możliwe, — liczba bezrobotnych wynosi obecnie 6000. W liczbie tej uwzględniono już tych robotników, którzy najwyżej pracują przez trzy dni w tygodniu. Stwierdzone obecnie bezrobocie nie jest bynajmniej większe, niż w odpowiednich miesiącach ubiegłego roku. Mimo to podkreślić należy, że pewne gałęzie ekonomiczne są obecnie szczególnie mocno zaniedbane. Jednakże zwolnione przez nie siły robocze zaabsorbowane zostały przez inne gałęzie pracy, przeważnie przez roboty publiczne. Agencja Żydowska wspólnie z Histadrut rozpoczęła bowiem od czasu kryzysu, wywołanego przez konflikt włosko - abisyński, starania u rządu palestyńskiego o zatrudnienie żydowskich sił roboczych przy robotach publicznych. Starania te uwieńczono zostały pomyślnym skutkiem. Towarzystwo „Bicur” n. p., rozporządzające kapitałem powyżej 80000 ŁP, rozpoczęło w miastach i w wsiach roboty publiczne, które umożliwiły zainwestowanie kapitału powyżej 30 tysięcy ŁP. Także służba bezpieczeństwa zatrudniła dużo robotników i pracowników.

W dalszym ciągu swych wywodów Naftali omówił cztery najważniejsze sektory żydowskiego gospodarstwa: *pardesy, gospodarstwo mieszane, budownictwo i przemysł*.

Sytuację w plantacjach cytrynowych uważać należy za zupełnie normalną. Osiągnięte dotychczas ceny pomarańczy nie są tak wysokie, jak to sobie optymiści wyobrażali, mimo to jednak są mocne. Z powodu wojny domowej w Hiszpanii przypuszczano, że pomarańcze hiszpańskie nie pokażą się w ogóle na rynku międzynarodowym i dlatego liczone się z możliwością osiągnięcia niebawem wysokich cen za pomarańcze palestyńskie. Hiszpania jednak wywozu nie zaniechała, eksportując pomarańcze nawet w dość znacznych ilościach. Ceny grape-fruítów są do chwili obecnej bardzo złe. Wskutek silnych wiatrów i burz bardzo dużo owoców cytrynowych spadło z drzew i przestało się nadawać do eksportu. Okoliczność, że ceny na rynku wewnętrznym poczynają zyskiwać mocniejszą tendencję, pozostaje na razie bez wpływu na kształtowanie się cen na rynku zagranicznym. Duża część robotników otrzymała zatrudnienie w okresie zrywania pomarańczy. Czy przenikanie żydowskich sił roboczych do plantacji pomarańczy odbywać się będzie w większym, niż dotychczas, stopniu, i na dalszą metę, — nie można jeszcze w tej chwili powiedzieć. Ustalić to się da do-

piero po ukończeniu sezonu w plantacjach.

Można stwierdzić konsolidację w rolniczych przedsiębiorstwach mieszanych. Dzięki staraniom w kierunku pewnej autarkii w gospodarstwie żydowskim produkty rolnicze znalazły łatwy zbył w miastach. Nie można, oczywiście, powiedzieć, że gospodarstwa te zebrały wielkie bogactwa; biorąc jednak pod uwagę ciężkie warunki, w których znajduje się obecnie rolnictwo na całym świecie, należy stwierdzić, że ta gałąź rolnictwa wyżywia tych, którzy w niej pracują. Podniesienie się cen produktów rolniczych wytłumaczyć należy podrożeniem kosztów produkcji, w szczególności zaś sprowadzanej z zagranicy paszy, której cena na rynku światowym uległa poważnemu wzrostowi. Przez intensyfikację gospodarstw i wprowadzenie nowych rodzajów uprawy rolnictwo zaabsorbowało nie małą część robotników. Reasumując więc to, można powiedzieć, że warunki gospodarcze wsi są do-

bre.

Podstawy gospodarcze w miastach nie okazały się w żadnym razie w równym stopniu odporne na kryzys. *W budownictwie* nastąpiło zmniejszenie się produkcji o ca. 50 procent w stosunku do okresu przed rozruchami. Jasne jest, że przyczyną tej redukcji tkwi w spadku imigracji żydowskiej. Dla rynku mieszkaniowego zanik „hausy” w budownictwie stał się opartym na zdrowych podstawach ułatwieniem. W tych warunkach mogłyby fundusze publiczne przyjść z pomocą robotnikom i przemysłowi budowlanemu, oczywiście, gdyby rozporządzały odpowiednimi kapitałami. Istnieją bowiem pilne roboty budowlane, jak usunięcie „Slum'u” w Jeruzolimie, Tel-Awivie i Hajfie; dalej budowa nowych gmachów szkolnych, gdyż istniejące budynki szkolne są prawie wszystkie nie odpowiednie. Zarząd Miejski w Tel-Awivie mógłby wreszcie przystąpić do budowy od dawna już koniecznego ratusza i t. d. Gospodarka prywatna w budownictwie zwolna przechodzi na

budowę gmachów biurowych. Czy rzeczywiście potrzebna będzie tak duża ilość biur wtedy, gdy ukończona będzie ich budowa, — trudno w tej chwili przewidzieć. W związku z tym wspomnieć należy o robotach publicznych przy budowie portu w Tel-Awivie. Następnie zatrudni też wielu robotników Zarząd Miejski w Tel-Awivie, który otrzymał koncesję na wprowadzenie oświetlenia gazowego.

Ciężka jest sytuacja młodego palestyńskiego przemysłu. Tu już nie chodzi tylko o bezpośrednie szkody, wyrządzone przez rozruchy, lecz również o szkody, sporządzone przez „hausę” w roku 1935. Obok upośledzenia rzemiosła na rzecz wielkiego kapitału dało się wówczas zauważyć smutne zjawisko, że na kierowniczych stanowiskach w przemyśle stały jednostki, które w żadnym razie nie dorosły do swego zadania. Skoro w Palestynie rzucano zawsze hasło: fachowy robotnik zamiast niefachowego, należałoby też postawić dewizę: fachowy przedsiębiorca w miejsce

nieudolnego businessmana. Ponieważ przemysł nie posiada żadnych rezerw, — zrozumiałą jest rzeczą, że wszelkie zamknięcie zbytu musiało w nim wywołać poważne wstrząsy. To zmniejszenie zbytu wywołane zostało przez zmniejszenie emigracji, przez odpadnięcie arabskiego konsumenta, przez wzmogoną konkurencję zagraniczną oraz przez spadek siły kupna. Wszystkie te objawy dały się przemysłowi palestyńskiemu mocno we znaki. Niektóre gałęzie przemysłu musiały się zamknąć, niektóre musiały swą produkcję znacznie ograniczyć.

Mimo tych wszystkich trudności, których w żadnym wypadku bagatelizować nie wolno, można w konkluzji stwierdzić, że *ogólna sytuacja bynajmniej nie daje podstaw do pesymizmu*. Dalsza harmonijna współpraca pomiędzy gospodarką prywatną a publiczną przyczynić się może nie tylko do usunięcia trudności, lecz może również otworzyć drogę do pomyślnego rozwoju gospodarczego całego Jiszuwu. *Tel-Awiv w lutym.*

Eli Madanes

## Żydowsko - arabskie stosunki gospodarcze

Prasa palestyńska poświęca ostatnio wiele miejsca sprawie autarkii arabskiego sektora gospodarczego i jej wpływu na całokształt gospodarki palestyńskiej. Ekskremiści wysuwają postulat zamkniętego gospodarstwa żydowskiego, aby w przyszłości uniezależnić się od wszystkich politycznych akcji Arabów. Jak więc przedstawiają się żydowsko-arabskie stosunki gospodarcze? Intensyfikacja gospodarki palestyńskiej doprowadziła do wzmocnienia współpracy żydowskiego i arabskiego sektora gospodarczego. Uprzemysłowienie kraju doprowadziło do zmniejszenia stosunków feudalnych w znacznej części wsi arabskich i zastąpienia ich kapitalistycznymi metodami gospodarczymi. Część fellachów przeszła z zamkniętej gospodarki domowej do gospodarki rynkowej. Racjonalizacja żydowskiego rolnictwa spowodowała też zmianę metod rolniczych wśród Arabów.

Rozwój żydowskiego sektora gospodarczego nigdy nie przejawiał tendencji stworzenia w Palestynie żydowskiej gospodarki autarkicznej. W przeciwnieństwie do tego możemy zaobserwować *zamknięty arabski sektor gospodarczy*, w szczególności w rolnictwie, w którym dla Żydów palestyńskich nie ma żadnych możliwości pracy. Natomiast w handlu, a w pewnej mierze i w przemyśle, widzimy arabsko-żydowskie stosunki gospodarcze. *Z ruchu budowlanego* w ogóle, a z żydowskiego w szczególności, żyje wielu Żydów i Arabów. Również *bankowość żydowska* nie jest zamknięta, co, rozumie się, stanowi poważną korzyść dla Arabów, zyskujących na żydowskim kapitale narodowym i prywatnym. Wiadomo też, jak wielkie ilości zasadniczych artykułów spożywczych, jak chleb, mleko, jarzyny i t. d. dostarczane są żydowskim konsumentom przez arabskich chłopów. Trzeba też wziąć pod uwagę wielkie sumy pieniędzy, które Arabowie otrzymują za ziemię sprzedaną Żydom. Kapitał ten akumuluje się w tym sektorze gospodarczym, w którym nie zatrudniają się żydowskie siły robocze. Ta dysproporcja gospodarstwa palestyńskiego jest źródłem największej troski kierownik

ników żydowskiej gospodarki narodowej; podłożem jej nie jest szowinizm gospodarczy, ale fakt wydatnienia nie zdrowej struktury żydowskiego gospodarstwa w Palestynie.

Wyżej opisany układ stosunków został przerwany przez rozruchy. W czasie ich trwania udało się zaopatrzyć „Jiszów” w artykuły żywnościowe, produkowane w żydowskich gospodarstwach.

W czasopiśmie „Meszek Szitufi” (Rocznik 3, zeszyt 18—19) Krispin szacuje wartość jarzyn, zakupionych przez Żydów u Arabów w r. 1935, na 368.000 Ł. Żydzi nabyli też u Arabów owoców wartości 80.000 Ł. Za paszę dla zwierząt domowych i zboże Żydzi wypłacili Arabom sumę 50.000 Ł, za tytoń: 30.000 Ł (co stanowi 70% konsumpcji tytoniu żydowskich fabryk papierosów), za bydło: 65.000 Ł, za ryby: 30.000 Ł (co stanowi 1/3 ogólnej konsumpcji ryb), za nawozy naturalne: 40.000 Ł, za mleko (20% ogólnej konsumpcji ludności żydowskiej), za jaja: 8.000 Ł, za drób 5000 Ł.

Ogółem w r. 1935 Żydzi nabyli u Arabów produktów rolniczych za 705.000 Ł.

W porównaniu z tymi olbrzymimi sumami mniejsze już są sumy, zapłacone za arabskie wyroby przemysłowe i rzemieślnicze: za materiały budowlane zapłacono 100.000 Ł, za papierosy 30.000 Ł, za inne wyroby ogółem: 50.000 Ł. Arabskim kupcom i szoferom Żydzi zapłacili 200.000 Ł.

Jak przedstawiają się dochody arabskich robotników w gospodarstwie żydowskim? Ze statystyki „Histadrut Haowdim” wynika, że w r. 1935 było zatrudnionych w plantacjach żydowskich 7000 robotników arabskich, w budownictwie i w przemyśle budowlanym: 2700, w zakładach przemysłowych „Neszer”: 275, w Potaż Co: 300, w transporcie: 1000, w różnych małych gałęziach przemysłu żydowskiego: 300, w żydowskich hotelach: 400. Tak więc dochodzimy do ogólnej sumy 11.975 robotników w gospodarstwie żydowskim. Arabski robotnik zarabia przeciętnie 45Ł rocznie, z czego wynika, że robotnicy arabscy, pracujący w żydowskim gospodarstwie, zarobili w r. 1935 kwotę 400.000 Ł. Do tego należy jeszcze dodać gałęzie gospodarcze, które wyłącznie albo prawie całkowicie pracują dla Żydów, j. n. p. kolej i roboty portowe. Suma, któ-

ra powstała z oszacowania tych prac, wynosi 460.000 Ł. Ogółem więc robotnicy arabscy zarobili w gospodarstwie żydowskim 860.000 Ł.

Za czynsz mieszkaniowy Arabowie otrzymują od Żydów około 500.000 Ł.

Ogółem, więc za pracę i produkcję w r. 1935 Arabowie otrzymali od Żydów ogólną sumę 2.445.000 Ł. Do tego należy jeszcze dodać dwie ważne pozycje: sumy otrzymane przez Arabów za ich grunta, oraz te, które wypłacono im z funduszy rządowych, a pochodzące z żydowskich podatków (szkolnictwo arabskie, pomoc rządowa dla fellachów i t. d.)

W r. 1935 Żydzi nabyli 72.905 dunamów ziemi, płacąc za nie 1.699.121 Ł. Drugą zaś sumę szacuje się na 1.250.000 Ł.

Ogółem więc w r. 1935 Arabowie otrzymali od Żydów 5.400.000 Ł.

Z drugiej jednak strony ogólna suma, którą w tymże roku otrzymali Żydzi od Arabów wynosi tylko 1.760.000 Ł. Obecnie już ona dochody żydowskich kupców, przemysłowców i wolnych zawodów.

Tak oto wyglądają „interesy arabskie, które ucierpiały przez Żydów”.

## MISCELANEA

Cierpię — więc jestem.

Teodor Herzl.

Największym szczęściem — być tym, kim się jest.

Teodor Herzl.

Wielu moich czytelników nie raz mnie pytało, jakim ja właściwie jestem pisarzem: żydowskim, niemieckim, czy kosmopolitycznym?

Na to mogę odpowiedzieć: Mózg mój jest międzynarodowy, a serce — żydowskie. Nie zawsze łatwo godzić mózg z sercem...

Lion Feuchtwanger.

Komu mało jeszcze jest zła w świecie, ten niech sieje nienawiść między braćmi, jednoś miech lamie, fundusze narodowe osłabia, miech na ziemi społecznej spekulację uprawia, niech się Imperium mecnie wysługuje. Kto zaś pragnie wyzwolenia z cierpienia, kto Ziemi nieśie chce odrodzenie, a Narodowi zapewnić przyszłość, ten musi szukać drogi do Erec-Isra'el, i ostatnimi ludzkimi siłami trzymać się tego, co już się nam ukazuje przez jej nawpółotwarte wrota: twórczej społeczności żydowskiej.

Józef Kastein: „Jeruzalem”

Nacjonalizm współczesny nie chce uznać, że i Żydzi chcą żyć, że i nam się należy prawo do życia i pracy oraz jakieś miejsce pod słońcem. Nacjonalizm współczesny jest okrutny i pozbawiony wszelkiego człowieczeństwa. Tak, jak gdyby tysiąclecia całe minęły bez śladu w dziejach ludzkości. Tak, jak gdyby *namka* Starego i Nowego Testamentu, nauka miłości bliźniego, nigdy głoszona nie była. Nacjonalizm współczesny poczytuje sobie za szczyt humanitaryzmu, gdy nas nie zabija, a tylko wydziera nam chleb powszedni.

(„Ostjudische Zeitung”, Cernaui).

## NARODZINY IMPERIU BRYTYJSKIEGO

Hector Bolitho: *Königin Victoria und ihr Sohn. Ein Frauenleben im Aufstieg zur Weltmacht.* Carl Reissner-Uerlag, Dresden 1936.

Wielka jest ostatnio liczba biografii, graniczących bezpośrednio z powieścią, nie tyle może z powodu tendencji autora do upiększenia obrazu życia swych bohaterów, ile dla tego, że życie to wydaje się nam samym być podobnym do jakiegoś romansu z wszystkimi elementami napięcia i niespodziewanymi rozwiązaniami zawikłanych sytuacji. Wydaje się, że w naszych czasach występuje szczególnie silna potrzeba poznawania i odtwarzania w wyobraźni życia nie żyjących już „bohaterów”.

Do rządu prac, poświęconych temu rodzajowi tematów, zaliczyć można książkę Bolitho. Opisuje w niej autor życie królowej Wiktorii od śmierci niezwykle przez nią kochanego męża, księcia-małżonka Alberta aż do jej zgonu. Okres ten, który wszedł do historii pod nazwą *wiktoriańskiego*, stanowi epokę nie tylko brytyjskiej, ale także europejskiej i międzynarodowej polityki. „Leitmotiv” książki stanowi opis ciągłego napięcia w sto-

sunkach między królową a jej synem, księciem Walii i późniejszym królem Edwardem VII. Przyczyną konfliktu był coraz silniej się zarysowujący indywidualizm Edwarda VII. Ten, niezmiernie skomplikowany i psychologicznie zamieszany stosunek, został przez autora odmalowany z prawdziwym mistrzostwem. Nie mniej wspaniała jest sylwetka samej królowej, dążącej do rozbudowania potęgi imperium brytyjskiego. Czytając książkę, śledzimy za procesem powstawania imperium, poznajemy też trudności i przeszkody, wypływające z wewnętrznych stosunków w Anglii. Dla nas zwłaszcza, tak silnie odczuwających problematykę polityki brytyjskiej i mających tak wiele sposobności do powątpiewania o ciągłości i równości jej linii, pouczające będzie stwierdzenie, że ta równa linia po większej części nie była rozumiana przez żyjących współcześnie z jej powstawaniem, a dopiero retrospektywna ocena umożliwiła jej ocenę. Poznajemy w szczególności niebawem *sprzeczności*, ujawniające się w sposobie ujęcia brytyjskiej „sztyki rządzenia” przez poszczególnych mężów stanu i kierunki polityczne. Sprzecz-

ności te zarysowują się jaskrawie w walce konserwatystów z liberałami, przy czym czynniki liberalne, będące w opozycji, broniły się przeciw imperialistycznej polityce. Gdy jednak sami objęli rząd, przemienili się w rzeczników idei ekspansji.

Z punktu widzenia zainteresowań żydowskich książka ta jest bogata w ciekawe szczegóły. N. p. podróż księcia Walii do Palestyny, jak wydaje się, nie zrobiła na nim zbyt dobrego wrażenia. Z drugiej strony autor zwraca uwagę na fakt, że Edward zapraszał do swego stołu także Amerykanów i Żydów, prowadził bowiem tryb życia znacznie swobodniejszy, niż to było przyjęte w okresie wiktoriańskim.

Znaczna część książki jest poświęcona stosunkowi królowej do jej kanclerza Disraeliego. Występując ze swą dziwiącą mową w Izbie Gmin, Disraeli doznał nie zbyt miłego przyjęcia, a to z powodu dziwaczności swojego stroju. Mówiono o nim, że nie jest gentlemanem, podobnie zresztą, jak w kołach angielskich nie przyznawano tej cechy księciu-małżonkowi Albertowi. Z królową łączyła Dis-

raeliego romantyczna przyjaźń, zwłaszcza po śmierci jego żony, gdy osamotniony aż nadto dobrze rozumiał osamotnioną Wiktorię. Niektórzy przeciwnicy wytykali mu obłudną galanterię, jaką rzekomo stosował wobec królowej. Wiktorii zaś szczególnie cenila w Disraelim zdolność referowania nawet najbardziej zwikłanych spraw, które w ustach jego były tak jasne, jak rozdziały jego powieści; natomiast rywal Disraeliego, Gladstone, nigdy nie był rozumiany przez królową. Gladstone nie oparł się też napisaniu antysemitkiej noty przeciw Disraeli'emu, gdy ten w r. 1876 w czasie konfliktu bułgarskiego sympatyzował z Turkami. Na Kongresie Berlińskim Disraeli wywarł silne wrażenie na Bismarcku, który o nim powiedział: „Der alte Jude, das ist der Mann!”

Disraeli był i pozostał romantykiem, mimo prowadzenia nad wyraz realistycznej polityki, albo właśnie dla tego. Punktem kulminacyjnym jego kariery było zdobycie *Kanatu Sueskiego* dla Anglii oraz nałożenie korony indyjskiej przez Wiktorię. Tak oto Disraeli złożył u stóp królowej dar, jak w bajkach orientalnych. Ale „bajki” te przemieniły się w rzeczywistość: w imperium brytyjskie.

Wśród licznych postaci, występujących w omawianej książce, spotykamy

także Balfoura. Jako młody dyplomata, oddawał się filozoficznym naukom, toteż ten i ów wyrażał się o nim z lekceważeniem, gdy powierzano mu rozwiązanie sprawy irlandzkiej. Balfour jednak wywiązał się znakomicie ze swego zadania, uspokoił Irlandię, osiągając w ten sposób swój pierwszy sukces polityczny. Okazał się przy tym człowiekiem z fantazją, rozumiejącym i odczuwającym dążenia nieszczęśliwych narodów; te same właściwości charakteru Balfour wykazał później, gdy serce swe oddał sprawie żydowskiej.

Niezależnie od tych szczegółów książka Bolitho jest dziś szczególnie aktualna. Ostatnie miesiące wykazały nam, jak *wielkie ma w Anglii znaczenie instytucja korony*, która wysłała zwycięsko z dni kryzysu. Istnienie i trwałość imperium nie w ostatnim rzędzie opiera się właśnie na tej instytucji. Słusznie też w pewnym miejscu książki autor powiada, że stranicznie graniczy w Queensland mogli nie wiedzieć, czy przy władzy jest Disraeli albo Gladstone, „ale wiedzieli, kto jest królową Anglii”.

Zaznajamiając się z życiem królowej Wiktorii, poznajemy też sprawy i troski imperium oraz te czynniki, które także obecnie losy jego kształtują.

J. R.

Doc. dr. Edmund Stein

# Chrześcijaństwo a Stary Testament

(NA MARGINESIE DZIEŁA KS. ARCYBISKUPA TEODOROWICZA p.t. „OD JAHWY DO MESJASZA”)

## II

## Stosunek chrześcijaństwa do Starego Testamentu.

Kto zna starochrześcijańską literaturę apologetyczną, spotyka się często ze znanym objawem, że pisarze kościelni, broniący Starego Testamentu przed atakami antycznych autorów, piszą prawie, jak wyznawcy mozaizmu. Całe partie trzymają się w duchu żydowskiego monoteizmu tak, że najprawdziwiejszy Żyd mógłby im przyklasnąć. Stan rzeczy zmienia się natomiast, gdy ci sami pisarze zestawiają Stary Testament z Nowym Testamentem, a jeszcze bardziej, gdy mają porównać wyznawców starego i nowego przymierza. Żydzi stają się nagle narodem krnąbrnym, twardym, nieużytym, zmysłowym i t. d. A ponieważ Stary Testament musiał z konieczności naginać się do tego gruboskórnego i nieokrzesanego narodu, wynikił stąd różne słabe i ciemne strony samego St. T. Jednym słowem: tworzy się możliwe ciemne tło, na którym tym jaśniejszą ma się odbijać prawda Nowego Testamentu.

Biorąc to pod uwagę, nie dziwi nas, gdy spotykamy podobną metodę u ks. arcybiskupa Teodorowicza. Prawda, że niektórzy poważni chrześcijańscy teolodzy zarzucają stopniowo że przestarzała metoda (Deissmann, Gressman i in.), ale to są wyjątki. Na ogół stary pokutuje jeszcze system.

A więc powtarzają się znane nam dobrze argumenty: Stary Testament jest głównie religią strachu, nie miłości; rytualizm przytacza i zagłusza uczucie religijne. Zapomina się, że Nowy Testament nie może wyrazić lepiej miłości do Boga, jak przytaczając słowa St. T.: „I będziesz miłował Wiekuiętego, Boga twego z całego serca twego, z całej duszy twej i z całej mocy twojej.”

Zamyka się także od na fakt, że bojaźń Boga w Biblii hebrajskiej to nie poplity strach, lecz pietyzm, a właściwie lęk przed czymś wzniósłym, tajemniczym, a który to lęk czy dreszcz jest nerwem religijnego przeżycia wedle Otta (Das Heilige). Jest to właśnie owo fascinosum czy numinosum, leżące u podstaw każdej religii. Podczas gdy strach oddala, to pietyzm zbliża. Tak tylko można rozumieć hebrajskie słowo *tira* w zdaniu: „Wiekuiętego Boga Twego będziesz się lękał (*tira*)”, Jemu będziesz służył, do Niego Ignąć będziesz?” (5. ks. Mojż. 10, 20). Lgnięcie do kogoś i poplity strach wzajemnie się wyłączają. Dziwnym jest, jak odnośni uczeni nie zdają sobie trudu, aby zanalizować hebrajski wyraz „*jira*”, czy „*mora*”, bo wtedy pojęliby znaczenie „strachu” przed Bogiem (por. E. Stein, Judaizm a Hellenizm, str. 33 n.).

Podobnie postępuje arcyb. Teodorowicz, przecząc często samemu sobie i własnym poprzednim wywodom.

Ograniczając się do kilku charakterystycznych szczegółów, które mają znaczenie metodologiczne. Na dowód, że dopiero Nowy Test. dał światu doskonałe prawa, przytacza Autor (str. 89) fakt zniesienia rozrodu przez ewangelię, dozwolonego według St. T. Jest to metodyczny błąd, bo należałoby przede wszystkim udowodnić, że zniesienie rozrodu oznacza rzeczywisty postęp w stosunku do biblijnego ustawodawstwa, a wtedy dopiero można było mówić o wyższości czy niższości jednego lub drugiego ustawodawstwa, oczywiście w odniesieniu do danej materii.

W fazie St. Test. „pełne słońce łaski nie padło jeszcze w gąszcz ciemne ludzkich namietności; jeszcze mimo szczytnej zasady: „kochaj bliźniego, jak siebie samego” jest prawem uświęcona vendetta, oko w oko, ząb za ząb.” (str. 109). Jest to pogląd nie naukowy. Biblijna *lex talionis* nie ma nic wspólnego z żadną vendettą, ani w ogóle jakąś mściwością. Jest to norma prawna znana u różnych ludów, także słowiańskich.

O wyższości chrześcijaństwa nad judaizmem ma świadczyć „parabola Ewangelii o panu winnicy, który wzywał do pracy w niej różnych pracowników o różnych porach dnia i nagrodził tego robotnika, który dopiero w ostatniej godzinie zgłosił się do pracy na równi z tym, który pracował od rana, — jest duchem swoim obca Staremu Testamentowi.” I tak dalej w tym samym duchu (str. 66; parabola Mat. 20, 13—15). Otóż ta parabola znajduje się w tak znenawidzonej Autorowi literaturze talmudycznej (Midrasz rabba do Szir ha-Szirim 6,2). Kto zaś zna stosunek ewangelii do homiletyki talmudycznej, przynajmniej, że ta parabola jest pierwotna w Talmudzie i wyrosła na gruncie judaizmu, skąd dostała się do ewangelii. Mędrcy talmudyczni bowiem nigdy nie czerpali z ewangelii. Jest to zresztą rzeczą znaną i uznaną przez teologów chrześcijańskich, że znajomość literatury talmudycznej rzuciła nowe historyczne światło na parabolę ewangeliczną, że wspomnę pracę Pawła Fibiega o tej materii.

Ale tu przeszliśmy już niepostrzeżenie do trzeciego głównego zagadnienia.

## III

## Stary Testament, chrześcijaństwo a późniejsze żydostwo talmudyczne.

Bardzo surowy wyrok feruje Autor na żydostwo talmudyczne. Talmud jest z reguły wspomniany z epitetem: wypaczony, wykoszlawiony itp. Ta surowość wypływa

z pobudek dogmatycznych. Tu dyskusja nie jest celowa. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na metodę, o ile ta chce uchodzić za naukową.

Oto przykłady. Autor pisze: „Norma: powinieliśmy miłować twój bliźniego, a twego nieprzyjaciela a nienawidzić — jest wyraźnym zniekształceniem idei St. T. przez żydowską kazuistykę talmudyczną” (str. 112). Autor nie podaje źródła tej normy, bo takiego miejsca w Talmudzie nie ma. Prawda, że tak mówi o żydostwie ewangelista (Mat. 5, 43); coż kiedy z tym miejscem w ewangelii kłopot największy. I tu należałoby przed tym oczyścić ewangelistę z zarzutu gołosownej kalmunii, a po tym dopiero mówić o kazuistyce talmudycznej...

Autor śpiewa hymny na cześć biblijnego mesjanizmu. Ze ten mesjanizm ma się

odnosić do mesjasza Nowego Zakonu, jest rzeczą wiary, nie nauki. Całe odium spada na Żydy dla tego, że oni tej wiary nie podzielają. Żydom trudno również rozumieć, dla czego miejsca proroków, odnoszące się do zbawienia narodu żyd., mają być tłumaczone symbolicznie tak, że właśnie naród żyd. ma zginąć w epoce mesjańskiej. Czyż tak było także z polskim mesjanizmem Mickiewicza, że naród polski, nosiciel idei mesjańskiej, miał zginąć, aby zbawić świat? Czyż nie można połączyć partykularyzmu z uniwersalizmem, jak to czynili naprawdę prorocy, oczywiście, o ile pozwala im się mówić to, co chcieli i nie nakłada im się kagańca interpretacji symbolistyczno-alegorystycznej?

Autor zapowiada osobną książkę na ten temat. Trzeba będzie wtedy koniec-

nie zapoznać się z źródłami talmudycznymi. Powołanie się na taką markę naukową, jaka jest osławiony ks. Trzeciak, przynosi ujmę poważnemu dziełu Arc. Teodorowicza. Tak samo nie bardzo licuje z naukowym charakterem dzieła opieranie się na jakichś enuncjacjach jakichś tam panów Idelsohnów. A wreszcie należy unikać takich paradoksów, jak czynienie z Marksza głosiela nacjonalistycznego mesjanizmu żydowskiego!

Autor nie cytuje współczesnej powstania chrześcijaństwa, literatury hellenistyczno-żyd. Gdyby Autor był czytał np. księgę IV Ezry, byłby się przekonał, do jakich wzniośleństw niebośiężnych zdolny był wnieść się żyd. mesjanizm w epoce narodzin chrześcijaństwa.

Wolimy jednak zapomnieć o niefortunnych wycieczkach Autora w obce sobie

dziwiny. Wspomnieliśmy braki wynagradzającego stosunek do hebrajskiej Biblii, który pozwolił Autorowi wczuć się w jej ducha, jej piękno moralne i estetyczne i w etos proroków Izraela.

Jeśli chodzi o przyszłe prace, chciałbym przypomnieć słowa wielkiego teologa chrześcijańskiego Gressmanna: „Skoro już tak jest, że nie można pisać o judaizmie sine ira et studio, winniśmy kierować się raczej miłością (studio), niż niechęcią (ira)”. To odnosi się także do tak „sporniewieranego” żydostwa talmudycznego. Ono bowiem, przynajmniej u najlepszych swych reprezentantów, nie widziało nigdy sprzeczności między afirmacją żydostwa, jako żywego i żywotnego organizmu narodowego, a mesjańskim uniwersalizmem, interpretowanym w duchu prawdziwego humanizmu.

Dr. S. Rumelt

## Czy technika uszczęśliwia człowieka?

Jak wiadomo z każdego podręcznika, człowiek ograniczony jest w swoich możliwościach dwiema zasadniczymi kategoriami: przestrzenią i czasem. W tych dwóch kategoriach wyczerpuje się całe życie człowieka, który w żaden sposób nie może się wyzwolić z więzów absolutnych tyranów swej wolności, chyba w marzeniach czy też w utopiach poetyckich. Nas pasjonuje w tej chwili zagadnienie, kto na przestrzeni wieków większym jest niewolnikiem czasu, człowiek pierwotny czy zwycięzca przyrody w XX. wieku.

### TROGLODYTA A BUSINESSMAN.

Pomimo pozorów okazuje się, że troglodyta miał o wiele więcej czasu, niż my nim rozporządzamy, czyli że tyrania chronosu nie dokuczała mu tak dotkliwie, jak nam. Można nawet zaryzykować sąd, iż wcale nie był w niewoli czasu, gdyż nigdy nie spieszył się, nie miał zegarka, nie obawiał się, że spóźni się do biura, teatru, fabryki czy na pociąg. Mało tego, nie wiedział, co to znaczy praca na akord, wyścig pracy, „stachanowszczyzna”, rekord, punktualność, wydajność pracy, konkurencja, amerykanizacja, Taylorizacja, tempo, i t. p. szykany nowoczesne, ograniczające wolność czasu człowieka. Spieszył się tylko przed zachodem słońca, aby wyzyskać światło dzienne, (bo nie dysponował sztucznym), lub gdy mu wpadł zwicher w potrzask albo wreszcie, gdy uciekał przed silniejszym wrogiem. Poza tym ani godziny posiłków, ani godziny snu czy pracy, nie ograniczają jego czasu!

O ile szczęśliwszy — pomimo pozorów przemawiających przeciwko niemu — był ów jaskiniowiec od businessmana amerykańskiego, który w gorączkowym i nerwowym tempie życia zatracił poczucie wolnego ręką ograniczonego czasu. Tak jest, jesteśmy w ponurej, tyranii niewoli u króla Chronosa, a sytuacja nasza jest tym bardziej beznadziejna, im większą dysponujemy ilością udoskonalonych technicznych. Można nawet stwierdzić paradoksalne zjawisko, iż im więcej pracy przerzuca człowiek na maszynę, tym więcej musi pracować!

Żyjemy w wieku, w którym tak opanowaliśmy przyrodę, że maszyny za nas przetwarzają produkty spożywcze i mineralne. Uwielożyliśmy nasze ręce, nogi, oczy i uszy. Maszyny za nas piszą, liczą, mówią, ciągną, pchają, niosą, wiozą, kopią, latają, płyną, tną, dozurują i wszystko robią tysiącokrotnie precyzyjniej, prędzej, lepiej, dokładniej. Zdałoby się więc, że nareszcie możemy spokojnie założyć ręce, wygodnie usadowić się w fotelu, zapalić cygaro, wziąć do ręki gazetę, włączyć głośnik radiowy i napawać się odpoczynkiem i wolnym czasem, bo naciśnięcie guzika elektrycznego załatwi w ciągu 1 godziny pracę 10, 100 i 1000 ludzi.

### TEMPO, TEMPO...

Nasze logiczne rachuby zostały haniebnie pokrzyżowane przez figlirkę cywilizacji XX w., która nie tylko zmechanizowała pracę, ale i z człowieka zrobiła maszynę.

Człowiek pierwotny widocznie nudził się, tak dużo miał czasu. A przecież musiał sam sobie budować dom, uszyć ubranie, sporządzić narzędzia, na piechotę wszędzie chodzić. Poza tym dzień jego był o wiele krótszy, bo ograniczony światłem słonecznym, więc szedł z kurami spać. Życie naszych przasczków trwało przeciętnie 30—40 lat, więc chyba powinni się bardziej spieszyć, niż my, którzy żyjemy dziś prawie dwa razy dłużej. A mimo to nasi dziadkowie przeraźliwie nudzili się, bo nie mieli czym zapęlić czasu...

Dla czego mister Brown równocześnie bierze do ręki dwa mikrofony telefoniczne, zjada obiad w barze stojąc, w kapeluszu i palce, zziębnięty i wiecznie zaferowany, podczas gołowania w łazience przyjmując interesantów, w samochodzie daje instrukcje sekretarzom, a dla kochanki kradnie do słownice przemysłowych kilka minut. Jeśli ten fabrykant jest tak bogaty, to wydawałoby się, że może robić, co mu się żywnie podoba. A szary człowiek? Mało wyspany, klnąc na czym świat stoi, spieszy się do biura, nigdy nie przychodzi na czas, pędzi na obiad, zmachany i technó żywno kładzie

się na odpoczynek, by znowu na drugi dzień stanąć w kieracie.

Budzi się refleksja pocieszająca: Człowiek współczesny żyje życiem niesłychanie intensywnym, o wiele pełniejszym, wszechstronniejszym, bogatszym. Umie wyzyskać wszelkie możliwości, pochłania liczne dobrodziejstwa kultury XX w. Pracuje, czyta, chodzi do kina, teatru, słucha radia, jeździ autem, lata aeroplanem, więc się kształci, bardziej się specjalizuje, więcej tworzy, bierze czynniejszy udział w pochodzie postępu ludzkości.

Czy istotnie jest to pociecha? Bardzo wstydliva i kryjąca wiele niebezpieczeństw. Cóż mu bowiem z tych dobrodziejstw, kiedy ma za mało czasu, aby je w pełni móc wyzyskać. Najlicniejszą warstwą ludzkości, milionowe rzesze robotnicze, nie korzystają z przywilejów urodzenia się w XX w., a jak wygląda życie przeciętnego businessmana w Ameryce, kraju największej prosperity, komfortu i kultury materialnej, o tym wiemy nie tylko z kina. Wiadomo, że sielanka okazuje się powolny stosunkowo tryb życia Europejczyka w porównaniu z gorączkowym tempem życia Amerykanina.

Makabryczną jest również pociecha fakt, że nie wiedzą, co zrobić z wolnym czasem miliony bezrobotnych. ZACHŁANNI PROMETEUSZE, CZYLI ANTIWINAWERIUS.

Ponury to wniosek z optymistycznych zachwytych na temat triumfu technokracji XX w. Ale coż, kiedy natura ludzka już jest taka, że im więcej ma, tym więcej pragnie. Dzisiaj przeciętny inteligent wie więcej o świecie i wszechświecie, niż najwięksi uczeni przeszłych wieków. Do każdego zawodu musimy mieć teoretyczne przygotowanie stokrotnie gruntowniejsze, niż ongiś.

Musimy się kształcić i uczyć ciągle, bez ustanku, bo każdy rok przynosi nowe zdobycze nauki i techniki.

Wykonujemy w każdym zawodzie pracę tysięcy razy solidniejszą i lepszą, niż najlepszy majster illo tempore. Specjalizujemy się w takim stopniu, iż nie raz zakres jednej specjalności danej dziedziny nauki jest większy, niż przed 100 laty cały zakres nauki. Produkujemy tysiące rzeczy, których nie używali w ogóle nasi przodkowie. Uważamy za artykuł pierwszej potrzeby takie przedmioty, bez których nasi dziadkowie żyli i to szczęśliwiej, niż my. Nasza produkcja jest w każdej dziedzinie tysięcy i więcej razy zwiększona. Konsumujemy wszystkich artykułów tysięcy razy więcej i dla tego im więcej nasze maszyny zastępują pracy naszych rąk, tym większe są nasze zachcianki i pragnienia. Ta zachłanność — w całym zresztą znaczeniu słowa — kradnie nasz tak cennie uzyskany czas.

Mysłimy na różne sposoby, jak tu skrócić naszą pracę, a gdy mądrze i skutecznie wymyślimy, okazuje się, że ten wolny czas trzeba skierować w stronę nowo wynalezionych dziedzin, których dotychczas nie eksploatowaliśmy, a więc nie poświęciliśmy im swego czasu.

I tak wkoło Macieja, aż do zwariowania.

Nasuwa się pytanie, czy z tym całym balastem jesteśmy szczęśliwi? Stanowczo, nie! Dumniejsi — na pewno, mądrzejsi — niechybnie, doświadczeni, uczeni — niewątpliwie — ale szczęśliwi — nigdy. Więc coż, więc po co to? Daremnie doszukiwać się przyczyn tego ciągłego niepokoju twórczego nieustrudzonego ducha ludzkiego.

Zbyt pochopny byłby wniosek o szkodliwości lub pożyteczności takiego zachłannego pożerania zjawisk i darów życia, nas otaczającego. Ale nie można obalić faktu, iż nie jesteśmy szczęśliwi od naszych przodków. Nie uniknelimy przecież wojen, anarchii, okrucieństw, prześladowań, kryzysów, zacofania, nietolerancji, więc czyż gorzej było tym, którzy przy świetle księżyca nučili serenady lub marzyli o pastuszym życiu i romantycznie przesiadywali w lesie, przy potoku, w górskich wąwozach.

Punktualność, tempo, termin — oto prozaiczne smory w. XX! Chciałoby się zbuntować i paradoksalnie zawołać: „Walczmy o prawo spóźniania się i nie-

spieszenia się! Czas należy do nas i nie dajmy sobie go wydrzeć!”

### 2. W TYRANII MIEJSCA.

A jak się rzecz ma z drugą równie ważną kategorią, z przestrzenią, którą ograniczone jest wszelkie postępowanie człowieka? Nie lepiej, niż z czasem.

Znowu paradoksalny wniosek, wydający się jakimś sofistycznym chywytem.

Bo i coż? Nie tylko skróciliśmy czas, ale i zbliżyliśmy do siebie części świata, zmniejszyliśmy odległości. Przelatujemy tysiące kilometrów, zgłębiając dno oceanu, przebiegamy bieguny, wznosimy się nad górami, skracamy tysiąckroć odległości, zastępujemy nogi samochodem, samolotem, jeździmy motorowcem, łodzią podwodną, przekazujemy na odległość dźwięki i obrazy, komunikujemy się z największą łatwością z obiema półkulami. A mimo to jesteśmy często niewolnikami przestrzeni. To coż powiedzieć o troglodytach? A jednak nasz sławny przodek, chociaż poruszał się na ograniczonym terenie i nie przemierzył wszędy wzdłuż globus — jak współczesny globtreterzy — mimo to nie zagrażał długo jednego miejsca, nie uległ władzy dyktatorskiej tyra — Przestrzeni. Nie mieszkał chwila Bogu w mieście, nie miał kamienicy, własnego mieszkania, własnych mebli, które przykuwają człowieka XX w. do jednego miejsca. Nie spał przez całe życie w jednym gnieździe, jaskini, grocie, czy szałasie, wiodł życie koczownicze, uależniał swe plany od pór roku, podatnego gruntu i terenu łowieckiego i nie przywiązywał się do rzeczy.

### FETYSZYSTYCZNE UMIŁOWANIE MARTWYCH PRZEDMIOTÓW.

Człowiek współczesny marzy o założeniu własnego ogniska jako o ostatecznym swym celu w życiu. Mieszkanie, meble, obrazy, dywany, biblioteka, pafeton, radio, fotel „przy kominku”, gazetka, dzieci i pies u stóp pana domu, ulubione potrawy i odpowiednia dieta na zbolały żołądek czy ciepły okład — oto przekrój „komfortu”, przedmioty powszechnych pragnień, które siłą rzeczy wiążą człowieka z określonym miejscem. Największą tragedią dla urzędnika jest przesunięcie go z jednego miasta do drugiego, gdyż taki człowiek musi się rozstać często z rzeczami, które umiłował namiętną miłością fetyszysty. Ale ta miłość rzeczy ulubionych — sama w sobie zupełnie może nie szkodzić — przemienia może człowieka w ofiarę swej namiętności, w niewolnika martwych przedmiotów, które zawsze przecież muszą być gdzieś umiejscowione i z których losem są nierozdzielnie sprzągnięte losy ich właściciela. Dla tego w lecie i zimie mieszka w jednym miejscu, chociaż jego warunki osobiste i komunikacyjne umożliwiają mu często zamieszkanie w zimie w klimacie łagodniejszym, w lecie w krajach o klimacie bardziej umiarkowanym.

### TRAMP I ROBOT.

Szkoła, przygotowanie zawodowe, praca zawodowa, odpoczynek wytwarzają drogę naszemu życiu. Wciągnięci w kierał, ustanowiony przez tradycyjny porządek społeczny, ani nawet nie marzymy o wyrwaniu się z tych pęt, wprost przeciwnie, chcemy w ramach ustalonego ładu urządzić się najlepiej i najpożyteczniej dla siebie i społeczeństwa. Włóczęgi, trampy, cygany, to wyrzutki i pariasy, stojące poza nawiasem zorganizowanej społeczności, która murem pogardy i surowych przepisów odgradza się od takich w samej rzeczy anarchizujących jednostek, istotnie żyjących na marginesie ludzkości oficjalnej.

Ograniczenia paszportowe, dewizowe, celne, różnice narodowe, rasowe i ustrojowe, walki gospodarcze i polityczne między poszczególnymi krajami umacniają te mury, w granicach, których człowiek wolny może się obracać. Wmurowani w bezbarwne i bezduszne kamienice, dusimy się w ograniczonej przestrzeni, a przecież wokoło nas rozciąga się taki przepych nieskończonego bogactwa przyrody, iż dla każdego mieszkańca globu starczyłoby więcej niż dosyć zielenicy, lasów i drzew, łąk i niezmiernych połaci wolnej, otwartej przestrzeni.

Zamykamy się w ciasnych, ponuro uporządkowanych ulicach, które odgradzają nas od swobody przestrzennej i nakazują celowo odgraniczać się do z góry wymienionych stóp, metrów i kilometrów. A przecież pierś ludzka pożąda szerszego oddechu, rozleglejszej perspektywy na tle, nie zmierzonym przez rozmyślny umysł urbanistyczny.

### 3. ZE ŚMIAŁYCH ZAŁOŻEN WNIOSKI UMIARKOWANE.

Nie znaczy to bynajmniej, że mamy marzyć o powrocie do życia koczowniczego, nie objętego dorobkiem kultury współczesnej. Chodzi tylko o to, abyśmy istotnie w pełni wyzyskali te wielkie dobrodziejstwa, jakie przyniosła cywilizacja ostatnich lat. Właśnie wszelkie udoskonalenia komunikacyjne powinny nam pomóc w organizowaniu życia w ten sposób, aby móc skutecznie zalczyć dwóch największych dyktatorów wolnej woli człowieka. Nigdy ich nie zwalczyliśmy, bo wraz z nimi i my zapadliśmy się w nirwanę, ale możemy je unieszkodliwić i wytręować dla swoich celów. Skróciliśmy czas i przestrzeń, korzystamy więc z tego w odpowiednim stopniu i eksploatujemy wytwory ducha ludzkiego dla polepszenia swojej doli. Odpowiednie zorganizowanie życia powinno umożliwić takie ułożenie czasu, aby móc do syta wyzyskać wszelkie dobrodziejstwa współczesnej cywilizacji. Dotychczas tylko nieliczna garstka z nich korzysta, a milionowe masy żyją zdala od nich, nie różniąc się tak bardzo trybem swego życia od swych przodków.

Za rozwojem techniki niestety nie podąża postęp duchowy ludzkości, a domosławie przemiany w dziedzinie kultury materialnej powodują często konieczność dostosowania do nich organizacji życia zbiorowego. Uczeń i wynalazca, oddając światu genialne swe twory, nie wyobrażali sobie nawet w miniaturze, jakich doniosłych przemian dokona ich odkrycie w życiu społeczeństw, po prostu nie przemysleli odpowiednio skutków swego dzieła. Ta dysproporcja (między błyskawicznym tempem wzrostu techniki a bardzo powolnym tempem dostosowania życia do postulatów zmienionej rzeczywistości) jest przyczyną dzisiejszego ponurego obrazu zamętu cywilizacji wraz z jej paradoksami. Stąd wiek XX. ma tyle tytułów do chwały i dumy, a równocześnie do wstydu i smutku!

### MASZYNA W SŁUŻBIE WOLNOŚCI LUDZKIEJ.

Wysuwany przez angielską szkołę postulat naukowej organizacji świata nabiera na tle panującego zamętu wyraźnego oblicza konieczności i celowości. W Ameryce to dobrze zaczynają już rozumieć, kiedy tu i ówdzie dają robotnikowi wolny czas tylko po to, aby mógł być pełnym konsumentem towaru, który sam wyprodukował. W tej samej Ameryce również dochodzą do wniosku, iż człowieka trzeba by wyrwać z jego stałego otoczenia i że trzeba dać mu możliwość przewietrzenia się i ruszenia w przestrzeniejszej przestrzeni. Camping, week-ends, turystyka, samochody-domy, domki przenośne, ogrody-miasta, przerzucanie dzielnic mieszkaniowych poza miasto, utrzymywanie stałych mieszkań innych na zimę, innych na lato, zrezygnowanie ze stałego zajmowania jednego mieszkania — to są objawy powolnych prób wyjścia z bezwładu i kryzysu. Aeroplany przecież nie służą tylko potu, aby rzucać bomby, ale przede wszystkim mają chyba ułatwić predkie i swobodne poruszanie się na całej przestrzeni ziemskiej.

Celowość więc technokracji będzie usprawiedliwiona wyłącznie w tym wypadku, gdy zostaną wyzyskane wszelkie możliwości dla polepszenia doli ludzkiej, t. zn. dla wywołania go z pęt, narzuconych mu przez niedobrą przeszłość. Dla czego kaź się pyszczyć szarem człowiekowi dorobkami prometeuszów współczesnych, gdy z ich darów nie ma prawa korzystać dla swego dobra, lecz raczej na swoje zatrącenie?

MASZYNA DLA DOBRA CZŁOWIEKA, NIE WOLNOŚĆ CZŁOWIEKA DLA MASZYNY!

LION FEUCHTWANGER

## FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

3)

Terencjusz, przeciwnie, szybko i łatwo zżył się ze Wschodem. O warsztat swój troszczył się jeszcze mniej; niż w Rzymie — to było zadanie Caji i niewolnika Knopsa. Chodził tajemniczy i ważny, organizował wystąpienia cechu, wygłaszał polityczne przemówienia. Tutaj małą wagę przykładano do jego nie pewnej wymowy litery Th, miał wdzięczną, uważną publiczność. Wprawdzie chętnie urągał przed Cają na przeklepty Wschód, gdy jednak widziała, jak godnie kroczył po pagórkowatych ulicach Edessy, pozdrawiany przez wielu ludzi, wówczas, mimo jego dumnie niezadowolonej miny, miała wrażenie, że Terencjusz czuje się tu tak dobrze, jak ryba w świętym stawie, bogini Tarate i z racji jego dobrego samo poczucia zapomniała o niedogodnościach, jakie Wschód sprawiał jej samej.

Poza jego zręcznym usposobieniem tkwiło jednak więcej niechęci, niż przypuszczała. Terencjusz czuł, że się starzeje, podczas gdy jego wielkie zdolności nie zostały jeszcze we właściwy sposób wynagrodzone. Czymże było uchodzenie za wielkiego człowieka, tutaj wśród tych barbarzyńców, w oczach brudnych, niewykształconych rzemieślników? Ach, jego lata rozkwitu były tam, w Rzymie. Z gorącą tęsknotą wspominał godziny, spędzone na Palatynie. Przede wszystkim jaśniało przed nim jedno wspomnienie z owych czasów. Pewnego dnia, mianowicie, Nero dla żartu zamiast sam zjawić się w senacie, polecił garnarczowi Terencjuszowi odczytać swe orędzie. A więc przed „Wybranymi ojcami” stanął garnarcz Terencjusz w cesarskiej purpurze i odczytał cesarskie orędzie zamilkłym, i zastygłym w pokorze i uniżeniu senatorom. Teraz, w Edessie, wydawało mu się owo wystąpienie przed senatem ukoronowaniem jego życia. Zapominał, że, na początku przynajmniej, opanował go rozpaczliwy lęk, kolana ugięły się pod nim, czuł pustkę w żołądku i ból brzucha. Pamiętał tylko, że w trakcie przemowy wzrastała w nim coraz bardziej pewność siebie. Widział przed sobą pełne lęku i czci twarze senatorów, wszyscy uważali go za prawdziwego Neronem i mieli słusność: naprawdę stał się wówczas Nerone.

Z trudem przyszło mu zachować wyłącznie dla siebie to olbrzymie przeżycie, ale przewycięził się jednak, nie zwierzył go nawet Caji. Nie tylko dla tego, że taka gadatliwość mogła pociągnąć za sobą śmierć, przede wszystkim dla tego, że obawiał się, że ta wielka chwila, gdyby opowiedział o niej tak banalnemu człowiekowi, jak jego żona, mogłaby utracić swój blask i zostać zbrukana. Caja w przeżyciu tym z pewnością nie dojrzałaby nic poza aroganckim żartem, na jaki cesarz pozwolił sobie wobec senatu i niebezpieczeństwem dla niego, nędnego narzędzia tego żartu. Dojrzałaby w nim tylko małpę Neronem i nie zrozumiałaby nigdy, że w tej godzinie przed senatem Terencjusz istotnie był Nerone. Oparł się więc pokusie, nie powiedział nic Caji i wytrwale milczał.

Zachowywał milczenie również i w Edessie. Czasami jednak tęsknota zatom, co utracił, dręczyła go nazbyt boleśnie. Wówczas nęciła go samotność i sam przed sobą odgrywał raz jeszcze scenę swego zjawienia się przed senatem. Najbardziej lubił labirynt, ową olbrzymią grotę skalną nad brzegiem Skirtos z niezliczonymi spletanymi chodnikami, chaosem schodów, ganków i komórek. Mówił, że trzy tysiące takich komór liczył labirynt, w najostatniejszej zaś i najtajniejszej mieszkał przed wiekami potworny syn boskiego byka, Labir, pół-bóg, pół-byk, żywiący się chłopcami i dziewczętami, wymuszany na mieszkańcach. Później potężne sklepienia służyły za grobowce dla dawnych królów, których cienie bytowały tam jeszcze. Tajemnica i strach otaczały labirynt, który się zaś nie ostrożnie, nie znając jego zawikłego systemu, odważył weń zapuścić, istotnie mógłby nie znaleźć drogi powrotnej i tam zginąć. Terencjusz lubił to miejsce, za każdym razem schodził głębiej w podziemia, z głębi zaś wyla wielkość i tajemnica, to też stopniowo jął się orientować w tym chaosie lepiej, niż większość innych ludzi. Tutaj, gdzie błądziły cienie dawnych wielkich królów, wazył się na to, aby znów stać się Nerone, przemawiał do niewidzialnego senatu, kiedy zaś słowa jego powracały doń zdławione i głuche, czuł poblizę bogów.

Pewnego razu bawiący się chłopcy odważyli się wejść głębiej, niż zwykle, do jaskini. Usłyszeli zduszony głos z głębokiego wnętrza labiryntu i uciekli, ogarnięci przerażeniem. Przy wejściu stanęli i czekali, pełni lęku i napięcia. Kiedy jednak zobaczyli wylaniającego się z jaskini garnarza Terencjusza, bojaźń ich oczekiwania wyładowała się w śmiechu, przedrzeźniał jego pańską postawę, jego majestatyczny krok, biegł przed nim i naśladował jego słowa sztucznie pogrubionymi głosami. Wówczas opanował Terencjusza wstyd, wstręt i poczucie pustki i beznadziejności obecnego życia tak gwałtownie, że najchętniej uciekłby z powrotem do jaskini, aby tam umrzeć.

Po tym doświadczeniu, postanowił na zawsze zapomnieć o Palatynie. Z podwójną gorliwością uczył się na pamięć klasyków, prowadził z zaciętą energią interesy cechu i doprowadził do tego, że wspomnienia Rzymu budziły się w nim już tylko zrzadka.

4.

## STRASZAK PROSTUJE SIĘ.

W końcu kwietnia, podczas zwykłej podróży inspekcyjnej, gubernator Ceion zapowiedział przybycie swe do Edessy, celem odwieczenia rzymskiego garnizonu, który miasto, zgodnie z „przyjacielską ugodą” z cesarzem rzymskim musiało przyjąć.

Poglądy Ceiona na kwestię wschodnią skrytalizowały się już, podczas krótkiego czasu jego urzędowania. Powiedziano mu, że z tym Wschodem nie można dać sobie rady, jeśli postępuje się w tradycyjny sposób, ostro i po rzymsku; dzięki swej miękkości i gładkości wegorza kraj ten wymyka się każdemu chwytowi. Prawdą było, że dobrzy Rzymianie, Pompeusz, Crassus i wielu innych łamali zęby na tym miękkim Wschodzie. Jeżeli jednak wówczas metody te były zbyt prostolinijne, to dzisiaj, mając za sobą uspokojoną już prowincję Syrię i siedem legionów, można było sobie pozwolić na to, aby temu przekłębemu, wschodniemu tałafajstwu pokazać rzymską pięć. „Ciekaw jestem, mój Ceionie, — powiedział podczas pożegnalnej audiencji na Palatynie cesarz Tytus, śmiejąc się sceptycznie, jak ty dasz sobie radę z tym naszym kochanym Wschodem”. Ceion wyprostował się. „Na Jowisza, najjaśniejszy, Ceion da sobie radę.”

Miasto Edessa przyjęło namiestnika cesarza poprawnie i czołowo bitnie. Król Mallukh przysłał podarunki, dywany, perły, wytwornych niewolników obójga płci. Ceion, mały, sztywno wyprostowany, przyjmował te oznaki uprzejmości władców. W jego twardej grecczyźnie skrzyślały w jego ustach przepisowe uprzejme odpowiedzi.

Varro, który, wkrótce po pierwszej wizycie u gubernatora, wrócił do swej posiadłości pod Edessą oczekiwał pełen podniecającego napięcia, na wystąpienie przeciw sobie swego dawnego przyjaciela — wroga; jednakże ani podczas oficjalnych przyjęć ani podczas przeglądu wojsk nie znalazła się okazja do podjęcia rozmowy. Dopiero trzeciego dnia, późnym wieczorem, po bankiecie, który wydał Ceion dla notablów Edessy, znaleźli obaj wolną godzinę.

Siedzieli w skrzydle pałacu, który oddał gubernatorowi do dyspozycji król Mallukh, w małej, po arabsku urządzonej komnacie, wyłożonej artystycznymi dywanami, ozdobionej posagami dziwnych bogów gwiazd i cudzoziemskimi napisami i ornamentami; woń ciężkiego kadzidla wypełniała komnatę Varro dobrze harmonizował z tym otoczeniem, lecz ów mały, sztywno wyprostowany gubernator, podkreślający swą rzymskość, robił wrażenie kogoś obcego, wyglądał, jakby nieco śmieśnie i czuł się wyraźnie nieswojo. Varro zauważył pocieszającym tonem, że z początku każdemu musi być trudno żyć się z Antiochią, stopniowo jednak zaczyna się kochać Wschód. Sławił przewagę Wschodu, swego Wschodu: lekkość życia, jego bogactwo. Przypominał sobie gwałtowne wystąpienie gubernatora przeciwko Daphne, willowemu przedmieściu Antiochii. „Przynajmniej — bronił swego miasta, — że Daphne jest bezwstydne. Ale czyż właśnie nie jest wspaniałe, ten królewski bezwstyd, nie ukrywający swych wrodzonych skłonności i nawet szczytujący się nimi?”

Ceion nie odpowiedział. Widać było, że męczy go ciężki zapach perfum, przepelniający komnatę. Wydał polecenie odsunięcia dywanów, wpuszczenia trochę świeżego powietrza. Teraz Varro ziębł lekko, Ceion zaś czuł się znacznie lepiej.

„Mimo wszystkiego byłoby może wskazane, mój Varronie, odezwać się w końcu w chwili ciszy, — gdybyś, choćby na chwilę, oderwał się od swego Daphne i powrócił do Rzymu”. „Propozycję twoją rozważać będę długo i poważnie — odparł, uśmiechając się, Varro. — Jest to, zresztą, odpowiedź, — dodał wesoło, — którą często spotykać będziesz tu, na Wschodzie.”

Czerwone plamy na twarzy gubernatora pociemniały, żart ten zdawał się go gniewać. Wyprostował się nieco, wprost widać było, jak wewnętrznie nabierał rozpędu i rzekł sucho: „Wiesz o tym, mój Varronie, że jutro wracam do Antiochii. Byłbym ci zobowiązany, gdybyśmy kwestię twej dopłaty do „podatku inspekcyjnego” załatwili jeszcze podczas mej obecności w Edessie.” „To znaczy dziś wieczorem?” — uśmiechnął się Varro. „Tak, — odparł rzeczowo gubernator. Varro, siedzący w zwykłej, niedbałej orientacyjnej pozycji, jeszcze niedbale skrzyżował nogi. „Kwestia ta, — podjął — jest od tak wielu lat dyskutowana, kasie zaś cesarskiej prowincji Syrii nie zależy chyba specjalnie na moich spornych sześciu tysiącach.” „Mimo to, byłbym bardzo obowiązany, — upierał się sztywno Ceion, — gdybyś zechciał się tearz zdecydować?” Varro pokiwał ciężką, mięsistą głową, podłużnymi brunatnymi oczami mierzył badawczo Ceiona. Kim był ten człowiek, siedzący naprzeciw niego? Straszak, jego kolega szkolny, czy też namiestnik cesarski, przedstawiciel współczesnego ciasnego nacjonalistycznego regim'u, wróg Wschodu? Lekkim konwersacyjnym tonem odpowiedział: „Nawet narażając się na gniew twój, mego dobroczyńcy i przyjaciela, muszę odmówić powzięcia natychmiastowej decyzji. Jestem, — dodał żartobliwie i łagodząco, — na tym Wschodzie sam już napoty wschodnim człowiekiem, to znaczy człowiekiem całkowicie niezdecydowanym.”

Jednakże drewniany, uparty Ceion nalegał: „Mimo to, zmuszony jestem cię prosić, abyś odpowiedział mi po rzymsku, jasno i bez zwłoki. Kazałem sobie raz jeszcze zreferować tę sprawę, sam zbadałem akta. Wszystko, co możnaby na ten temat powiedzieć, zostało już dziesięciokrotnie powiedziane. Zapowiedziałem moim panom, że nie wrócę do Antiochii bez twej jasnej, niedwuznacznej odpowiedzi”.

Teraz Varro zblił lekko. To nie mówił Straszak, to nowy Rzym przemawiał teraz. Obaj siedzieli jeszcze, Ceion siedział sztywno, prosto w całej, nie wielkiej swej wysokości na niskim, arabskim wysiętlanym krześle. „A cobyś poczał, mój Ceionie, — spytał Varro, ciągle jeszcze przyjaźnie, prawie z uśmiechem, — gdybym odpowiedział: nie?” Gubernator zacisnął usta. Poczem, rabiąc słowa po wojskowemu, lecz nie podnosząc głosu, odpowiedział: „Musiałbym wówczas, niestety, zawezwać cię przed sąd”.

Przez ułamek sekundy Varrona przepełnił nie tylko gniew, ale prawie oszalamiające zdumienie. Natychmiast jednak opanował się i narzucił sobie rozsądne postępowanie i logiczne myślenie. „Wyszło sztydło z worka, — pomyślał. — To jednak nie Rzym przemawia, lecz Straszak. I doszło istotnie do tego, czego się obawiałem w Antiochii. Straszak, stabsze, dał się unieść. Posunął się dalej, niż zamierzał. Teraz trudno by mu było się cofnąć. Z pewnością zawezwał by mnie przed sąd, a gdybym nie przyszedł, przysłałby żołnierzy. Byłoby to szaleństwo, ale Straszak popęlniłby je. W ten sposób zdąży ku najbardziej zwariowanemu awanturom. Tą drogą ja za nim nie pójdę. Myślę. Pozostanę rozsądny. Rozsądek żąda, abym ustąpił. Ustąpię. Tym razem”. „Ponieważ tobie, memu przyjacielowi i dobroczyńcy, — rzekł z ironicznym oddaniem — zależy na tym, przesyłę ci owe sześć tysięcy. Każ, proszę, przygotować pokwitowanie”.

Obaj panowie rozmawiali jeszcze przez chwilę parę o rzeczach obojętnych, po tym, życząc sobie dobrej nocy, pożegnali się. „Zapłacisz procenty od tych sześciu tysięcy, Straszaku, albo kimkolwiek jesteś”, — rzekł Varro, niesiony w lektyce po pagórkowatych ulicach Edessy. —

5

## VARRO POWZIĄŁ PLAN

Następnego dnia, o świcie niedłwie, posłał gubernatorowi owe sześć tysięcy sestercyj. Z napięciem oczekiwał powrotu wy-

śląca. Ceion istotnie przyjął owe sześć tysięcy, wysłaniec przyniósł pokwitowanie. Varro obejrzał dokument chciwie ze szczególnym zadowoleniem. Głośno, złośliwie się uśmiechając, odczytał tekst: „L. Ceion, gubernator cesarskiej prowincji Syrii, potwierdza odbiór od P. T. Varrona sześciu tysięcy sestercyj podatku inspekcyjnego”. Po czym, jeszcze leżąc w łóżku, bardzo podniecony, podyktował swemu sekretarzowi pismo, wnoszące na ręce rzymskiego senatu zażalenie przeciwko niesprawiedliwemu podwójnemu opodatkowaniu. Zanim podpis jego wyszeł ostatecznie, wysłał, przez umyślnego kuriera, protest ów do Rzymu.

Po dokonaniu tego, zezwolił na obecność przy swym leżącym wielkiej ilości oczekujących na to klientów. Przed ich oczyma przesłał pokwitowanie Ceiona, dawał je niektórym do przeczytania, głośno je sam odczytywał. „Nowy gubernator, — śmiał się — to dobry numer. Gotów był sprowadzić mnie siłą, gdybym nie był zapłacił”. Przyglądał się twarzom swoich ludzi, badając, jak reagują. Stali zmieszani, nie wiedząc, czego się od nich oczekuje. Niektórzy śmiali się z przymusem, inni demonstrowali oburzenie, wszyscy byli zaskoczeni. Varro przechadzał się wśród nich, klepał niektórych po ramieniu, mówił, patrząc wprost w twarze: „Ten nowy gubernator, to surowy gość”. Badał twarze.

W chwili, kiedy zamierzał już ich odprawić, spojrzenie jego padło na człowieka, którego nie dostrzegł był dotychczas. Człowiek ten miał dumny, zamknięty wyraz twarzy, umiesione brwi ponad krótkowzrocznymi szarymi oczyma, zdumiony był raczej, niż oburzony, miał usta lekko skrzywione i znów, podobnie jak owego ranka przed czterdnastu laty, oszłomiła Varrona ta dumna, zgryźliwa twarz o różowej, zwidłej skórze i czerwono-włobond włosach. Tak, dokładnie tak samo wyglądał cesarz Nero, jego cesarz, kiedy nie chciał przyjąć czegoś do wiadomości. Zupewnie tak samo zareagowałby na tę obrazę, gdyby był jeszcze na świecie, Varro zaś mógł mu o niej opowiedzieć. Tak, uśmiechał i władczo wysuwał naprzód grubą dolną wargę: Róbcie, co chcecie, mnie to nie dotyczy.

Varro przypomniał sobie, jak Nero bawił się małym talentem tego człowieka, jak kazał skakać jemu i małpie, i uśmiechnął się wewnętrznie. Zanim jednak jeszcze ten wewnętrzny uśmiech odbił się na jego twarzy, usunął go i na ułamek sekundy jego ożywione ręce zastygły prawie jak maska.

Wiele rzeczy dojrzał w ciągu tej sekundy.

Po czym zwrócił się znów do swych klientów. Teraz, niepostrzeżenie, wciągnął w rozmowę również i tego człowieka o krótkowzrocznych szarych oczach. Zaczął okazywać mu zainteresowanie. Rozwinał w końcu przed tym małym majtrem garnarskim, żyjącym z jego łaski, cały swój kunsztowny czar, którym operował zwykle tylko wobec orientalnych królów i arcykapłanów, najwyżej zaś wobec kobiet.

Przebiegłe wydobyl żen rozmaite jego tajemnice. Ośmielił pochlebnie Terencjusza tak dalece, że garnarcz rozmawiał z nim, jak z równym sobie, wykladał mu swe poglądy na życie, politykę, sztukę, Serce Terencjusza należało do teatru. Zaczął mówić o aktorze Janie z Patmos, który od dawna już usunął się ze sceny i żył w ciszy, w Edessie, jako człowiek prywatny. Przed paroma laty Terencjusz widział owego Jana w Antiochii w roli Edypa. On, Terencjusz, przyznaje szczerze, że rozczarowany był powszechnie sławionym talentem tego człowieka. San interesuje się literaturą i teatrem, i jak jego dobroczyńca, senator, wie może, umie długie ustępy z klasyków na pamięć, wiele myślał o Edypie i ma całkiem zdecydowany pogląd na to, jak na przykład wielka mowa Edypa powinna być wypowiedziana, ta mowa, rozpoczynająca się od słów: „To, co się stało, stało się zgodnie z prawem, i nigdy nie przekonasz mnie, że jest inaczej”. Gdy tak gadał, zląkł się nagle własnej śmiałości, zląkł się, że senator wyśmieje go może, a choćby się tylko uśmiechnie. Nie zaszło jednak nic podobnego. Varro słuchał z całkowicie poważną miną i zaprosił go do siebie w najbliższych dniach na obiad, aby Terencjusz mógł mu dokładniej wyłożyć swe poglądy, przede wszystkim zaś swą opinię o właściwym wypowiedzeniu owych wierszy Edypa.

Terencjusz, prawie nieprzytomny z nadmiaru szczęścia, odczuł mimo to pewien niepokój. Nie było to zdumienie z powodu wzbudzonego zainteresowania — był wykształconym człowiekiem o własnej indywidualności i interesujących poglądach. Jednak, gdy mówił z nim jakiś pan z rodu senatorów, odczuwał zawsze mimo woli respekt, niższość, trochę lęku — ostatecznie ojciec jego był jeszcze niewolnikiem w rodzinie Varrona. I gdy teraz Varro zaprosił go na wspólny posiłek w najbliższych dniach, aby mógł dokładniej słuchać jego poglądów, wmieszał się do uczucia radości zatykający oddech w piersiach lęk, prawie tak, jak wówczas, gdy Nero wzywał go do siebie.

Varro, odprawiając klientów, wyciągnął raz jeszcze pokwitowanie na owe sześć tysięcy sestercyj podatku, potrzymał je w należytej odległości od oczu, dość daleko, gdyż teraz stawał się dalekowiedzem, i wbił sobie w pamięć literę po literze. Swym czytelnym, drobnym pismem wypisał na odwrocie dwie rubryki: Zysk — Strata i zanotował w stronie zysku: „Pewna myśl”. Potem otworzył dobrze ukryte małe drzwi w ścianie i wyjął z zagłębienia skrzynkę. Skrzynka nie była duża, ale bardzo kosztowna, rzeźbiona przez Myrrhona, wyobrażała czynny Argonautów. Varro wszędzie zabierał ją ze sobą, gdziekolwiek był. Otworzył skrzynkę, wyjął z niej papiery, które zawierała, pieczołowicie przesunął po nich dłonią. Był tutaj wyjątkowo poufny list Neronem do niego i wiersze, które poświęcił mu cesarz, było pismo zmarłego króla Partów, Wologezjusza, w którym władca wyrażał podziw i wdzięczność dla mądrości Varrona, dzięki której doprowadził do zakończenia wojny między Rzymem i Partami. Poza tym parę słów nakreślonych ręką feldmarszałka Corbulona, który prowadził ową wojnę jako dowódca rzymski i, chociaż zwyciężył, skończył marnie, — i wiele innych rzeczy. Do tych dokumentów, bardzo dlań drogie, Varro dodał z uśmiechem pokwitowanie Straszaka, poczem zamknął skrzynkę i schował ją w zwykłym miejscu.

(C. d. n.)

# LUTNIA PUSZKINA

PONIŻSZE WIERSZE ALEKSANDRA PUSZKINA W PRZEKŁADZIE JULIANA TUWIMA  
DRUKUJEMY ZA ZEZWOLENIEM TEUMACZA REDAKCJA

## Demon

Gdy jeszcze świeży i uroczy  
Był dla mnie każdy objaw bytu,  
I lasu szum i dziewcząt oczy  
I śpiew słowika aż do świtu,

Kiedy natchnione dzieła wieszczę,  
Miłość i wolność, pęd do chwały  
W młodzieńczej krwi budziły dreszcze,  
Wznosiły mnie i upajały,

Chwile nadziei rozkoszy  
Tęsknotą nagłą tłumiały we mnie —  
Wtedy to jakiś Geniusz mroczny  
Nawiedzać zaczął mnie tajemnie.

Posepnie płynął czas odwiedzin:  
Przedziwny uśmiech, wzrok uwodny,  
Zgrzybliwe słowa, które cedził,  
W mą duszę jad sączyły chłodny.

W bluznierczą złość niewyczerpany,  
Z bóstem się mierzył bogoburczo,  
Mazaniem wabił w świat nieznaną,  
Gardził natchnienia mocą twórczą.

Dla życia, dla wolności, chwały  
Miał uśmiech drwiący i nienawiść;  
Nie wierzył. I w przyrodzie całej  
Niczemu nie chciał błogostawić.

Cóż tobie mię moje powie?

Umrze jak smutny poszum fali,  
Co płynnie w brzeg i zmilknie w dali,  
Jak nocą głuchy dźwięk w dąbrowie.  
Skreślone w twoim imionniku.

Zostawi martwy ślad, podobny  
Do hieroglifów płyt nadgrobnych  
W niezrozumiałym prąjczyku.  
Cóż to niemi? Pamięć jego zgłuszy

Wir wzruszeń nowych i burzliwych,  
I już nie wskrzesi w twojej duszy  
Uczuć niewinnych, wspomnień tkliwych.  
Lecz gdy ci będzie smutno — wspomnij,

Wymów je szeptem, jak niczyje,  
I powiedz: ktoś pamięta o mnie,  
Jest w świecie serce, w którym żyje.

## (Do Dekabrystów)

W głębinie syberyjskich rud  
Wytrwajcie dumni, niezawieśli,  
Nie zginie wasz bolesny trud  
I lot wysoki waszych myśli.

Nadzieja, siostra nieszczęśliwych,  
Rozproszy kiedyś mroczny cień  
I zbudzi rzeźką radość w żywych.  
Nadziejcie upragniony dzień —

Miłości światło i przyjaźni  
Dojdzie was przez pomur noc,  
Jak do katorżnej waszej kaźni  
Mój wolny dziś dochodzi głos.

Okowy swe rzucicie precz,  
Runą ciemnice, brzask zaświta,  
Wolność na progu was przywita,  
I bracia wam oddadzą miecz.

## Wóz życia

Choćby się na nim ciężar wiozł,  
Wóz w biegu lekko niesie nas;  
Pogonia wiaź, nie złącząc z koźlą,  
Woznica dziarski, stary czas.

Na wóz siadamy rankiem, każąc  
Choćby na zbity leń, lecz gnać,  
I niewygody lekceważąc,  
Wolamy: jazda, k... m...!

W południe brak już tej śmiałości,  
Ze strachu zaczynamy drżeć,  
Przy każdym rowie, pochyłości  
Krzyczymy: wolniej, durniu, jedź!

Już wieczór. Wóz nie zwalnia biegu.  
Niech sobie prędzi dokąd chce.  
Jedziemy, drzemiąc, do noclegu,  
A czas pogonia konie swe.

Szczęśliwy jest śród jaśniepaństwa  
Wieszcz, co u królów posłuch miewa.  
On gorzkie prawdy sączy w kłamstwie,  
Lzami przyprawia śmiech, gdy śpiewa.

Dworaków tępy smak lasokoce —  
I chciwość sławy budzi w żądnych, ..  
Ozdabia ich hulaszczę noce  
I słucha pochwał arcymądnych —

Kiedy za drzwiami, jednocześnie,  
Lud, przez fagasów popychany,  
„Od kuchni” tłoczy się, wsłuchany  
W dźwięk jego pieśni.

# Mickiewicz o Puszkynie

Pierwszy wiersz wydany na publiczność przez tego poetę (Puszkina) tchnący ponurym jakobinizmem, srogą nienawiścią ku wszystkiemu, obiega całą Rosję. Wnet to imię Puszkina, staje się hasłem dla wszystkich, którzy w Rosji byli nieukontentowani. Od Petersburga aż do Odessy i Kaukazu obnoszono, tłumaczono sobie, śpiewano po wszystkich leżach wojskowych jego „Ode do sztyletu”, nie mającą zresztą innych zalet prócz tej, że każąca w niej znajdował swe własne uczucia.

Puszkina cudem ocalał wśród tego nieszczęścia (spisek dekabrystów). Był on na ten czas na wsi. Odebrałszy wiadomość o śmierci cesarza Aleksandra jechał do stolicy. Wtem na drodze spotyka jąca, co go już uderzyło, bo wierzył w zabobony, a u Słowian takie spotkanie jest złym znakiem. Ruszał jednak dalej, aż wkrótce znowu spotyka gorszą wróżbę — babę, na koniec po niej jakieś chwili popa. Dopiero zwoszczył jego rzuca bicz i na kolanach zaklina pana, żeby wrócił do domu. Puszkina usłuchał. Później opowiadał o tem w pół żartem, w pół serio; ale istotnie te-

mu był winien swoje ocalenie. Inaczej bowiem zginąłby razem z wielu przyjaciółmi, albo jak niektórzy z nich poszedłby do kopalni syberyjskich.

(Puszkina) szczerze pragnąłby nienawidzić cesarza, tylko nie wiedział jak sobie wyrozumować powód do tej nienawiści. Początkowo oskarżał go o zmiennictwo. Mikołaj wezwał go do siebie. Od czasu jak Rosja Rosją, pierwszy raz dopiero cesarz raczył rozmawiać z człowiekiem, któremu żaden stopień nie dawał prawa do tego zaszczytu. Nie dość na tem, cesarz tłumaczył się prawie przed Puszkinem ze swego wstąpienia na tron... Bardzo zachęcał Puszkina, żeby pisał, użalał się na jego milczenie. „Jeżeli się lekasz cenzury — mów mi — ja sam będę twoim cenzorem”. Puszkina oszedł głęboko wzruszony. Powiadał swoim przyjaciołom cudzoziemcom, bo Rosjanom tego wyznać nie śmiał, że wysłuchawszy cesarza nie mógł mu nie ulec. „Ach, jak ja chciałbym jego nienawidzić — powtarzał — ale cóż mam robić? za cóż go będę nienawidził?”

Od tego czasu stał się niejako prozaicz-

niejszym w swojej poezji, wyszydzał już entuzjazm, filozofizm i liberalizm.

... Tu dopiero widzimy dlaczego i jak nowożytna literatura rosyjska musiała się skończyć. Istotnie skończyła się ona z Puszkinem. Bez wątpliwości, są jeszcze dzisiaj w Rosji pisarze wielkiego talentu, wysokiego umysłu; ale niech każdy Rosjanin dobrej wiary powie, czy w pismach ich wierszem i prozą jest cokolwiek, coby było nowem, uderzającym, coby przeżyło Puszkina.

Ten człowiek (Puszkina) nienawidziany, prześladowany od stronników różnych partji, umarł i został im wolne miejsce. I cóż oni mają postawić na opuszczonym tronie? Jeśli zechcą panować dowcipem, Puszkina był od nich wszystkich dowcipniejszy. Jeżeli napiszą jaką balladę albo jakiś sonet, znajdziemy w Puszkinie piękniejszego. Gdzież się więc obróca? Z temi ideami, jakie mają, zgola nie mogą kroku posunąć naprzód: literatura rosyjska teraz na długo ustała.

Adam Mickiewicz. *Literatura słowiańska, wykładana w College de France, tom II, str. 262—280.*

## ANDRÉ MAUROIS

### MAŁA RECEPТА NA SZCZĘŚCIE

Unikać należy zbyt długiego grzebania się w przeszłości. Grzebanie się zań we własnej przeszłości budzi smutne wspomnienia, wrogie fantasmagorie i urojone choroby. Sztuki piękne, a przede wszystkim teatr, muzyka i literatura wynalezione zostały — jak utrzymuje filozof Alain — tylko po to, aby odrywać człowieka od tych smutnych monologów. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że w ogóle źle jest rozpamiętywać. Każde poważne postanowienie musi być poprzedzone przez rozważanie, te jednak mają określony cel i nie są szkodliwe. Niebezpieczne natomiast jest przeżuwanie bez końca wspomnień o stracie, której ktoś doznał, obrazie, która kogoś dotknęła, głupstwie, które ktoś powiedział, słowem o wszystkim, co się już nie da odwrócić. Prawie każdy z nas ma w swej rodzinie jednego z owych „fanatyków nieszczęścia”, którzy po prostu zmuszają całe otoczenie do wplątania się na całe życie w zawiłą sieć wypadków, wprawdzie smutnych i ubolewających, ale nie dających się w żaden sposób zmienić. Duch ludzki musi się od czasu do czasu

przewietrzyć i odświeżyć. Nie ma szczęścia bez zapomnienia.

Aby uwolnić się od własnego upiora, zalecam następujący środek. Błogosławiona jest praca. Nierób jest zawsze kandydatem na nieszczęście. Podczas bezsennych nocy każdy człowiek jest nieszczęśliwy, nie może bowiem nic robić i dlatego trudno mu uwolnić się od własnych myśli. Byron, ten od urodzenia nieszczęśliwy człowiek, znalazł swoje szczęście dopiero w Grecji, w czasie wojny o niepodległość tego kraju. Nie miał tam ani wygod, ani zbytku, ale był zajęty i... zapominał. Nie widziałem jeszcze człowieka pracy, któryby był nieszczęśliwy, gdy pracuje. Przestaje myśleć, jak dziecko, gdy się bawi.

Jeżeli ktoś nie ma dużych możliwości pracy, musi się zadowolić małymi. Należy urządzić sobie ogródek, zacząć coś zbierać, wreszcie poświęcić się jakiemś specjalnemu studium. Można też uczyć się gry na instrumencie lub obcego języka, a jeżeli ktoś jest nie zdolny do samodzielnego działania, chodzić do teatru, do kina albo czytać powieści. Niebawym rozwój kina,

które umożliwia wszystkim za niską opłatą obejrzenie sztuki scenicznej i stanowi ucieczkę przed szarą rzeczywistością, — jest wyjątkowo charakterystyczny dla naszych czasów. Dzięki kinu zwalczane są co wieczór w najmniejszych miastach Europy i Ameryki złe nastroje, a gdy nie może być inaczej, to bodaj przez smutne filmy, gdyż smutek, którego przedmiot leży poza nami, przestaje nas zatrawać.

A teraz jeszcze jedno lekarstwo: działać. Ale samo działanie nie wystarczy, aby być szczęśliwym. Trzeba działać zgodnie z duchem społeczności, do której się należy. Konflikty zużywają człowieka i utrudniają jego życie. Jako zwykłe swoje otoczenie wybrać należy takie środowisko, którego dążenia pokrywają się z naszymi i które wykazuje zrozumienie dla naszych celów. Miast walczyć ze środowiskiem, które Ciebie nie rozumie, i w walce tej stracić własne szczęście i zburzyć jeszcze szczęście innych, — wybierz lepiej przyjaciół, co myślą tak, jak Ty. Nie powinno to oczywiście stanać, na przeszkodzie tym, co innych, inaczej myślących, przekonywać pragną, ale czyż nie lepiej czynić to przynajmniej w oparciu o przyjaciół?

Następna recepta: nie wolno czuć się nieszczęśliwym z tego powodu, że się przewiduje dalekie i straszne katastrofy. Tru-

## Młyn nad Utratą\*)

W opinii szerokiej rzeszy czytelników utwierdzają się często w stosunku do pisarzy pewne komunały, które niełatwo zwalczyć, zwłaszcza, że popiera je w wielu wypadkach idąca za ogólnym szablonem niezbyt wnikliwa krytyka literacka. Komunały te i utarte pojęcia o twórczości niektórych pisarzy wpływają zarówno w sensie dodatnim, jak i ujemnym, na popularność i „wzięcie” autora; w każdym razie wytworzą niezdrową atmosferę sądu apriorycznego, który rzadko kiedy okazuje się słuszny. Jarosław Iwaszkiewicz, autor „Zenobi i Palmury”, ucho- dzi powszechnie za pisarza trudnego, dostępnego tylko dla ścisłego koła inteligentnych czytelników. I ta ctykieta, którą przypięto Iwaszkiewiczowi, w okresie pierwszych jego powieści, trwa niezmiennie do chwili obecnej, mimo, że uległ on bardzo poważnej ewolucji. Od „Zenobi i Palmury” poprzez „Panny z Wilka” i „Czerwone tarcze” aż do „Młyna nad Utratą” — autor odbył wielką drogę, zbliżając się co raz bardziej do aktualnych zagadnień interesujących dzisiejszego człowieka, i zdobywając się co raz bardziej — jak powiedział Lechoń — na mocne i odważne spojrzenie.

Dwa opowiadania, składające się na ostatni tom Iwaszkiewicza stanowią pewien wyskok w twórczości tego pisarza. Są mianowicie opowiadaniem z *tezą* i są próbą dokonania artystycznej nobilitacji takich opowiadań. Czy jednak próbą w zupełności udaną? Postaramy się na to pytanie odpowiedzieć.

W pierwszym opowiadaniu, zatytułowanym „Nauczyciel”, przedstawiony jest wycinek życia pewnej szlacheckiej rodziny, mieszkającej w swej posiadłości na wsi. Zawitał tam któregoś dnia nauczyciel, zaangażowany przez panią domu do trzech chłopców, którzy ze względu na niespokojne czasy nie mogli uczęszczać do szkoły w mieście. Trzonom opowiadania jest zagadnienie inwersji seksualnej nauczyciela i w dalszej konsekwencji — jej wpływu na młodych wychowanków. Iwaszkiewicz starał się tutaj wykazać, jakie doniosłe i głębokie przemiany w psychofizycznym ustroju chłopców, dokonały się na skutek tej inwersji i jaki błogosławiony wpływ wywarła ona na dalszy rozwój Felka. Myśl ta jest niewątpliwie bardzo odważna i śmiała, wkracza bowiem do wstydliwie pomijanej dziedziny anomalii płciowych i co ciekawe — usprawiedliwia je i czyni z nich zjawisko zupełnie naturalne. Iwaszkiewicz nie zdołał nas jednak przekonać, dla czego Felek powiesił się na wierzbie, gdy wyszły na jaw wszystkie praktyki nauczyciela, i gdy ojciec kazał pedagogowi iść precz ze swego domu. Ten ostatni akcent opowiadania jest stanowczo zbyt silny i pod względem psychologicznym niedostatecznie uzasadniony. Teza, postawiona przez autora o szkodliwości zakazów naturalnych popędów, zakazów, które doprowadzić mogą do tragicznych załamania i katastrof, nie uzyskuje tutaj pełni życia i jest mało przekonująca; zwłaszcza, że opania publiczna jest jeszcze daleka od nazywania takich zjawisk — naturalnymi.

W drugim opowiadaniu — tytułowym — pod względem ujęcia i tematyki niezwykle ciekawym, myśl zasadnicza została już konsekwentnie wypracowana i z właściwym Iwaszkiewiczowi mistrzostwem oddana w dialogach i obrazach. Bogobojny i kontemplacyjny młodzieniec, poeta i myśliciel, zakochał się w pospolitej kobiecie, dzierżawiczej młyn nad rzeką Utratą. Tragiczne zderzenie wysublimowanego religijnie młodzieńczego erotyz-

\*) Jarosław Iwaszkiewicz: „Młyn nad Utratą”. *Nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa 1937.*

mu z pospolitością życia. Charakterystyczne, że kiedy śledzimy poetę Julka z każdym najmniejszym jego przeżyciem, przeczuwamy, że nastąpić musi owo zderzenie, które pociągnęło nie tylko śmierć poety, ale i jego serdecznego przyjaciela Karola. Pospolitość wraca do pospolitości. Kochanka Julka wraca do swego męża, tegoż mieszcza, z którym przez długi czas żyła w seperacji. Problem niezwykle ciekawy, fabuła prosta i nie skomplikowana.

Do największej prostoty stylu obrazowania doszedł Iwaszkiewicz w „Młynie nad Utratą”. To, co uchodzi za wyrafinowanie prozy Iwaszkiewicza jest jedynie finezją, która cechuje każdy twór literacki wysokiego gatunku. „Młyn nad Utratą” jest niewątpliwie bardzo ciekawą pozycją w najnowszej polskiej literaturze.

LEON BAUMBERG.

## KRONIKA LITERACKA

### PRASA FRANCUSKA O PUSZKINIE

Prasa francuska podała kilka wyimków z opinii, jakie pewni wybitni pisarze wyrazili o Puszkinie z okazji odsłonięcia jego pomnika w r. 1880. Dostojewski podkreśla samorodność poezji puszkiniowskiej, która ostała się mimo silnych wpływów Byrona. Przypisuje Puszkiniowi momenty wieszczę, wpływ na kształtowanie się samopoczucia kulturalnego Rosji, wprowadzenia po raz pierwszy postaci włóczęgi, który kształtował się później ciekawie w twórczości rosyjskiej.

Merimée zestawia Puszkina z Byronem, wymieniając obu jako równoważne zjawiska w dziejach literatury.

Turgeniew, podkreśla wrażliwość poety na wpływy Zachodu i pogłębienie przez niego języka rosyjskiego, który obcy nawet filologowie uważają po greckim za najpełniejszy pod względem logiki i piękna form.

### NAGRODĘ WIADOMOŚCI LITERACKICH ZA ROK 1936.

Uzyskały „Pamiętniki chłopów.” W motyacji swojej opinii podała M. Dąbrowska pochlebne głosy zagraniczne o „Pamiętnikach chłopów” i ich wartości artystyczne.

### POEZJA FRANCUSKA OD RENESANSU DO ROMANTYZMU.

Ukazał się XI tom „Historii francuskiej poezji” Emila Faguet’a, obejmujący dzieje poezji francuskiej od Renesansu, aż do Romantyzmu. Autor syntetycznie podaje charakterystykę liryki w okresie rewolucyjnym, jako wypadkową pierwiastków dydaktycznych, ducha galanterii i namaszczenia.

### KSIĄŻKA O AUGUSTE STRINDBERGU.

Wdowa po Strindbergu ogłosiła ostatnio, w 40. rocznicę jego śmierci, wspomnienia o dwuletnim z nim współżyciu, w których skomplikowane życie wewnętrzne tego wielkiego pisarza znajduje ciekawe odzwierciedlenie. Wspomnienia poparte są listami poety, Hamsuna i in.

### WYSTAWA WILLIAMA BLAKE'A.

Ciekawy pokaz rysunków ang. poety — wizjonera W. Blake'a wystawia się ostatnio w Paryżu. Malarstwo i poezja Blake'a przenikają się nawzajem na gruncie swoistej mistyki, która przesłaniała przez długi czas istotne wartości tego niepospolitego artysty.

### CIEKAWA IMPREZA

Z pośród wielu sposobów uczczenia pamięci Aleksandra Puszkina zasługują na uwagę galeria bohaterów z bajek puszkiniowskich, urządzona w parku dziecięcym Sokolniki w Moskwie. Ustawiono tam mianowicie szereg ogromnych posągów i grup rzeźbionych z lodu, reprezentujących poszczególne sceny z dzieł wielkiego poety.

### 70-LECIE W. W. WERESAJEWA.

Znany powieściopisarz rosyjski W. W. Weresajew, święci obecnie 70-lecie swoich urodzin. Z zawodu lekarz, rozpoczął on swoją karierę literacką poezją, po czym przeszedł do utworów nowelistycznych i większych powieści. Twórczość jego staje się odzwierciedleniem dróg i manowców rosyjskiej inteligencji, jej poszukiwań i konfliktów wewnętrznych. Dużo wnikliwości wykazuje w podchwytywaniu nastrojów młodego pokolenia. Największe wrażenie wywołał jego utwór: „Zapiski lekarza”. „Na wojnie”, zaś w powieści „Ku życiu”, przeciwstawia się nihilistycznym tendencjom, którymi natchnęły współczesne mu pokolenie głośne w swoim czasie powieści: Arcybaszewa: „Sanin” i Rożoluba: „Mały diabeł” (Bies). Poza tym rozwinął też Weresajew działalność literacko-krytyczną, i ogłosił zbiór studiów monograficznych o Dostojewskim, Tołstoju i Nietschym p. t. „Żywe życie”.

# ANTENNA ŚWIATA

## Rewindykacje niemieckie

Pod powyższym tytułem zamieszcza „Marianne” artykuł Jacques Kaysera, wybitnego publicysty francuskiego. Artykuł ten przytaczamy prawie w całości.

W „Mein Kampf” występuje Hitler wyraźnie jako przeciwnik kolonii w swoim zaś przemówieniu w Reichstagu podejmuje tezy, broniące przez von Eppa, Goeringa, Goebelsa, i Schachta, domagając się zwrotu dawnych kolonii niemieckich.

Jesteśmy już przyzwyczajeni do tych stałych sprzecznosci w wynurzeniach Fijhlera, które są podyktowane ciągłym dążeniem do „podniesienia prestiżu” Rzeszy.

Ma się rozumieć, że „poszukiwanie” prestiżu musi w końcu otworzyć oczy narodu niemieckiego, który zrozumie istotny sens. „Potrzeba nam kolonii, aby przetrwać kryzys.” Dr. Schacht posuwa się np., aż tak daleko, że pisze otwarcie, iż problem kolonialny dla Niemiec nie jest ani „problemem imperialistycznym”, ani „problemem prestiżowym”, lecz jedynie i wyłącznie zagadnieniem egzystencji ekonomicznej.

Jeśli to oświadczenie ma być ścisłe, dawne kolonie niemieckie musiałyby być eksploatowane przez ludność niemiecką, musiałyby się stać rynkiem zbytu dla przemysłu niemieckiego i dostarczać żywności Rzeszy.

Otóż, dawne kolonie niemieckie nie są jednakże, ze względu na położenie geograficzne, ukształtowanie powierzchni i klimat, w żadnym razie terenem emigracyjnym. Również nie mogą stanowić poważnego rynku zbytu dla przemysłu niemieckiego. Odnosnie zaś importu do Niemiec — wchodziłyby tu jedynie w rachubę fosfaty z wysp Nauru i z Tangawijki, (oba kraje

obecnie pod mandatem brytyjskim).

Jest więc oczywiste, że zwrot kolonii nie zmieni nic w sytuacji ekonomicznej Rzeszy Niemieckiej.

Czy mielibyśmy stąd jednak wyciągnąć wnioski, że nie należy rozstrząsać zagadnienia kolonialnego w ogóle?

Wręcz przeciwnie!

Może nie w tej postaci, o jakiej mówią panowie z Trzeciej Rzeszy, lecz w formie, jaką skonkretyzował w Genewie, we wrześniu ub. roku, sir Hoare, a mianowicie: umożliwienia wszystkim krajom „restrykcji artykułów pierwszej potrzeby.”

W zasługującej na uwagę broszurze, wydanej w Londynie przez „Royal Institute of International Affairs” znajdujemy listę 34 artykułów pierwszej potrzeby.

Wielka Brytania posiada na swoim terytorium 23 z spośród nich w ilości, wystarczającej dla użytku wewnętrznego i na wywóz. Jest ona częściowo lub też całkowicie zależna od zagranicy w odniesieniu do 9 artykułów.

Niemcy natomiast posiadają na swoim terytorium tylko 2, a zależność od zagranicy sięga aż 26 artykułów!

Stany Zjednoczone mają 12, a brak im 17; Z. S. S. R. ma 16, a brak — 12; Francja posiada 10, a brak — 21; Włochy posiadają 8, a brak — 22; Japonia posiada 5, a brak — 19;

Cyfrы te nie wymagają komentarzy!

Mówią one wyraźnie o braku podstaw dla rewindykacyjnej polityki niemieckiej. Potwierdzają natomiast tezy broniące ostatecznie z wielkim powodzeniem przez Leona Bluma w Lyonie.

## Dzieje tunelu madryckiego

Oblężenie Madrytu przyczyniło się do wyzyskania dotychczas nieudane ekspse-

rymentu, który przed nie dawnym czasem dał asumpt do obszernej dyskusji prasowej i krytyki publicznej ministra robót publicznych, socjalisty — Indalecio Prieto.

Prieto, obecnie minister marynarki, kazał w swoim czasie przebrać w centrum Madrytu tunel celem połączenia dwóch linii kolei podziemnej: północnej i południowej.

Przez eksperyment ten usiłował minister Prieto rozwiązać częściowo problem bezrobocia w Madrycie.

Przeciwnicy polityczni Prieta utrzymywali jednakże, że budowa tunelu na tym odcinku niesie ulubione miejsce spacerów arystokracji madryckiej, inni znów twierdzili, że przedsięwzięcie to skierowane jest wyraźnie przeciwko interesom kupców i hotelarzy, pozbawi ich bowiem gości, zatrzymujących się dotąd w mieście, między jednym postojem kolei a drugim.

Tymczasem w trakcie budowy tunelu spoprzeżono grubą błąd w obliczeniach, który spowodował znaczne obniżenie dna tunelu w stosunku do poziomu dworca Południowego. Tunel był nie do użytku, roboty przerwano, a o ich dalszym wznowieniu nie mogło być mowy wobec wielkich kosztów inwestycji.

Znalazło się wielu humorystów, którzy wydarzenie to ochrztili szeregiem epitetów.

Dziś zaś liczni potwarczyli ministra błogosławiają, bowiem znajdują w galeriach opuszczonego tunelu doskonałe schronienie podziemne przed bombardowaniem z samolotów.

## Wzruszający testament Beethovena

W związku z wyświetlanym obecnie filmem z życia Beethovena, nie od rzeczy będzie przytoczyć wielce wzruszający jego testament, ogłoszony nie dawno w paryskich „Les Annales”. Ten t. zw. „Neilgenstadzki” testament napisał Beethoven, mając lat 28.

O wy wszyscy, którzy uważacie mnie za niedobrego, zaciętego mizantropa, jakżeż mnie krzywdzicie; nie znacie bowiem prawdziwej przyczyny tego, o co mnie pomawiacie.

Od najpierwszej młodości serce moje i umysł mój oponowane były zyciowością i chęcią dokonania wielkich czynów, lecz zważając, od sześciu lat trapiony jestem nieuleczalną chorobą, której stan z powodu nieudolności lekarzy, mamiących mnie nadzieją polepszenia, z roku na rok się coraz bardziej pogarsza, bo już nie widzę możliwości zmiany.

Mimo, że od urodzenia jestem obdarzony krewkim temperamentem i do wszelkich rozrywek towarzyskich jestem skory, już wcześniej musiałem się odseparować i żyć w samotności, a gdy nie kiedy zlekceważyłem sobie swój stan, jakże niemiłosiernie odrzucony zostałem przez świadomość, że nie damagam na słuchu. A jednak nie mogłem się zdobyć na to, aby rzec: mówcie głosić do mnie, krzykcie głośno, jestem głuchy; ach, jakżeby to było możliwe, abym sam zdradził się ze słabości zmysłu, który powinien był u mnie być doskonalszy, niż u innych, i którzy też dawniej taki był! Nie, nie mogę tego uczynić, przeto wybaczcie, gdy zobaczycie, że się wycofuję, acz z całą chęcią pozostałbym między wami. Podwójny ból sprawia mi moje nieszczęście, gdyż jestem zapoznany i nie ma już dla mnie ani wytchnienia w miłym towarzystwie, ani zajmującej wymiany zdań i całkiem sam, jak banita prawie, muszę spędzać dni mojego żywota. Gdy zbliżam się do ludzi, lęk mnie ogarnia, iż będę musiał ujawnić swój stan — tak było również w ostatnich sześciu miesiącach, które za radą rozsądnego lekarza spędziłem na wsi, aby oszczędzić swój słuch.

Lecz dałem się porwać skłonnościom towarzyskim — i co za upokorzenie to dla mnie, gdy ktoś obok mnie słyszał dźwięki fletu, a ja nic nie słyszałem, lub gdy ktoś słuchał śpiew pastuska, a ja znów nic nie słyszałem. Takie wydarzenia doprowadzały mnie do rozpacz, nie dużo brakowało, a byłbym skończył z życiem — lecz moja sztuka wstrzymywała mnie: Wydawało mi się niemożliwością opuścić ten świat, za nim nie stworzę wszystkiego, do czego czuję się powołany, i tak upływało moje nieszczęsne życie! Nieszczęście to zaprawdę — mieć takie wrażliwe ciało, jak ja, i umieć jednak w krótkim czasie pogodzić się z takim ciężkim stanem. Cierpliwości, ciebie teraz za gwiazdę przewodnią biorąc, pomóż mi wytrwać, aż się nieublaganym Parkom spodobą przerwać nić mojego żywota; i może będzie nawet lepiej, a może i nie, jestem na wszystko przygotowany — w 28 roku życia zostać filozofem nie łatwa to rzecz, a dla ludzi sztuki trudniejsza, niż dla kogokolwiek innego.

Boże, Ty wiesz, co się we mnie dzieje. Ty znasz moje serce, Ty wiesz, że mieszka-

tam miłość do ludzi i chęć pomagania im a wy, ludzie, którzy to kiedyś te słowa przeczytacie pomniście, żeście mnie skrzywdzili; a ty, nieszczęśliwco, pociesz się, że spotkałeś towarzysza niedoli, który wbrew wszystkim powinowactwom natury, robił wszystko, co mógł aby stanąć w rzędzie godnych twórców i ludzi.

Karolu i Janie, bracia moi, gdy umrę, a profesor Schmidt żyw jeszcze będzie, poproście go w moim imieniu, aby opisał moje cierpienie, a wy dołączcie do kroniki mojej choroby ten oto list, aby przynajmniej po śmierci ludzie się ze mną pojednali. Zarazem ogłaszam was dziedzicami mojego majątku. Podzielcie się uczciwie, życie zgodnie i pomagajcie sobie; coście mi złego zrobili, dawnym już Wam wybaczył, Tobie Karolu, osobno dziękuję za okazywane mi przywiązanie. Życzę Wam, abyście mieli lepsze życie, niż ja, wychowując swoje dzieci w cnotcie, bowiem tylko cnota, a nie pieniądze, daje szczęście, mówię to z doświadczenia. Tylko cnota pomogła mi w nieszczęściu, jej i sztuce zawdzięczam, że nie skończyłem samobójczą śmiercią. — Dziękuję również wszystkim przyjaciółom, w pierwszym rzędzie księciu Lichnowskiemu i profesorowi Schmidowi.

Instrumenty od księcia L. niechaj przechowane zostaną u jednego z Was, ale niechaj z tego żadna między wami sprzeczka nie powstanie, a jeśli to się wam przyda, sprzedajcie je rad będąc jeszcze w grobie wam się cześć przysłużyć.

Tak więc byłym już gotów, z ochotą czekać na śmierć. Gdyby nadeszła, zanim zdołał rozwinąć wszystkie moje zdolności, mimo surowego losu chętniebym ją na później odsunął — tak czy owak jednak, szczęśliw będę, że mnie uwolni od mego stanu.

Przyjdź, czekam Cię z odwagą — bądźcie zdrowi, nie zapominajcie o mnie po śmierci, zasłużyłem sobie na waszą pamięć, często myślałem o was i o tym, jakby was uszczęśliwił, bądźcie szczęśliwi!

6. X. 1802.

Ludwig van Beethoven.

## Przyszłość języka angielskiego

„Język angielski nie sięga zbyt daleko, nie wykracza po za granice naszej wyspy, a i w jej obrębie nie wszędzie jest używany.”

Tak pisał w r. 1582 Ryszard Mulcaster, jeden z pierwszych angielskich gramatyków. Językiem angielskim mówiło wtedy 4—5 milionów ludzi, a wśród europejskich języków zajmował on wówczas piąte miejsce. Pierwsze miejsce zajmował francuski, drugie niemiecki, a trzecie włoski.

Obecnie trzy czwarte wszystkich listów na ziemi pisane są po angielsku. Więcej, niż połowa gazet świata, drukuje się w języku angielskim, angielski język rozbrzmiewa z 3/5 wszystkich radiostacji świata. Każdy kapitan statku musi władać jako tako tym językiem. W dyplomacji angielski zaczyna powoli wypierać francuski, w nauce zaś niemiecki.

Ilu ludzi mówi dzisiaj po angielsku? Dokładnie obliczyć tego nie można, chyba tylko w przybliżeniu. A więc: angielski jest językiem ojczystym dla: 112 milionów ludzi w Stanach Zjednoczonych, — 42 mil. w Wielkiej Brytanii i północnej Irlandii, — 6 mil. w Kanadzie i t. d.

Wszystkie te cyfry przytoczone są z ostrożnością, razem dają one jednak w sumie 174 milionów ludzi. Do tej liczby dochodzą jeszcze ci, którzy przyznają się wprawdzie do innego języka ojczystego, ale, mieszkając w krajach angielskich, muszą używać tego języka i w nim wychowują swoje dzieci. Razem, więc, wszystkich mówiących tym językiem jest ponad 191 milionów ludzi.

Rosyjskim jako językiem ojczystym mówi 80 milionów ludzi na 150 milionów obywateli sowieckich, reszta mówi najrozma-

ższymi językami. Trzecie miejsce zajmuje język niemiecki, mówi nim około 80 milionów ludzi. W tym 65 mil. obyw. Rzeszy Niemieckiej, 7 mil. ludzi w Austrii, 3 mil. w niemieckiej Szwajcarii, poza tym około 5 mil. w krajach utraconych przez Niemcy i Austrię, w państwach nadbałtyckich i bałkańskich oraz w południowej Ameryce.

Czy po niemieckim następuje język francuski, czy hiszpański, nie wiadomo na pewno, w każdym razie żadnym z nich nie mówi więcej, niż 55 milionów ludzi. Reszta języków europejskich nie wchodzi w ogóle w rachubę. Także w Azji nie ma angielski konkurenta, jakkolwiek bowiem Chińczyków jest — gdy weźmiemy pod uwagę język ojczysty — 300 milionów, jednak tyle tam panuje różnorodnych — i poza pewnym obrębem — niezrozumiałych dialektów, że trudno uważać język chiński za jednolity; raczej uważać go należy za grupę języków. To samo da się powiedzieć o języku hinduskim. Po japońsku mówi za ledwie 70 milionów ludzi, stoi, więc, daleko w tyle za angielskim. Arabski zaś następuje dopiero za włoskim, który zajmuje szóste miejsce wśród języków europejskich.

Jak widzimy, angielski ma poważną przewagę nad wszystkimi konkurentami, poza tym wszystko wskazuje na to, że swoje przodujące stanowisko wzmocni jeszcze w przyszłości, żaden bowiem inny język nie rozprzestrzeni się tak szybko i nie dociera do tak odległych krain. I tak na Filipinach 15% ludności nie tylko mówi tym językiem, ale umie nawet czytać i pisać po angielsku. Na Dalekim Wschodzie jest język angielski, począwszy od 18 w., uznany za „lingua franca”. W Japonii jest obecnie znajomość angielskiego — według zdania belgijskiego konsula Joka-

hamie — „nieodzowne dla wszystkich Europejczyków. Można się tu obejść nawet bez japońskiego, ale bez znajomości angielskiego jest się poprostu skaranim na zagładę. Jest on tu bowiem głównym językiem handlowym”. W Chinach angielski jest w użytku od wielu lat, w Indiach zaś jakkolwiek tylko 2 1/2 mil. tubylców pisze i czyta po angielsku, dominuje on nie tylko w handlu, ale też w polityce. Wszystkie dyskusje polityczne prowadzone są po angielsku.

Na podstawie wyżej przytoczonych danych dochodzimy do wniosku, że językiem angielskim mówi obecnie jako drugim swym językiem około 200 milionów ludzi na ziemi. Powszechnie również wiadomo, że angielskim można się wszędzie w Ameryce porozumieć, prawie tak dobrze jak w samym Nowym Yorku.

Język angielski jest prosty, ma czyste dźwięki, łączy ze sobą wyrazy w sposób łatwy, jest logiczny w ich uporządkowaniu i wolny od wszelkiej pedanterii. Kolosalną jego zaletą jest brak rodzajów.

Zaden inny język europejski nie posiada tylu trzy — i czterogłoskowych słów, jak angielski i w żadnym innym nie można się tak łatwo i krótko wyrazić.

Większość wykształconych cudzoziemców uważa język angielski za tak łatwy, jak gdyby to był język dla dzieci. Nieco gorzej rzecz się ma z ortografią.

Angielski psycholog dr. C. K. Ogden udowodnił na przykładach, że już nieznaczna ilość słów wystarczy, aby mówić i rozumieć po angielsku. Ogden obliczył, że do codziennego użytku wystarczy 850 słów; z których stworzył on uproszczony język angielski t. zw. „basic”.

Jak więc widzimy, jest angielski już obecnie bezkonkurencyjny.

Zachodzi jednak pytanie, czy język ten potrafi utrzymać swą dzisiejszą formę? Prawdopodobnie nie. Zresztą i po co? Już od 50 lat czysty język angielski ustępuje miejsca dialektowi amerykańskiemu, przejmując wynalazone przez Amerykanów słownictwo i frazeologię. Zdobyć świat przez język angielski będzie właściwie zwycięstwem dialektu amerykańskiego.

„Harper's Monthly Magazine — New York, wyjątek z art. znanego krytyka amer. Meuckena”.

(L — y).

J. Ercicz - Homańska

## Z RUCHU MUZYCZNEGO

2 koncerty. Filhar. pod dyrykcją E. Coopera. „Milość” E. Morawskiego. W. Kempff. Koncert T. Kasserna. E. Bandrowska.

Z pośród kapelmistrzów, rok rocznie odwiedzających Warszawę, Emil Cooper należy do najwięcej lubianych i wysoko cenionych. Posiada on nie tylko licznych zwolenników wśród melomanów, lecz stanowi przede wszystkim wielki autorytet dla orkiestry. Jest to niezmiernie ważne. Orkiestra bowiem, bezpośrednio podlegając dyrygentowi, a zwłaszcza pracując na próbach, ma możliwość nie raz trafnie ocenić kapelmistrza, niż słuchacz, urabiający sobie zdanie na zasadzie ostatecznego rezultatu — produkcji koncertowej, zależnej także jeszcze od wielu okoliczności pobocznych.

Prestige, jakim Cooper cieszy się u orkiestry, wynika stąd, że jest to poważny muzyk w szlachetnym stylu i świetny technik. Wysilki jego idą przede wszystkim w tym kierunku, aby orkiestra dokładnie i ściśle wygrała wszystkie nuty, zawarte w głosach orkiestrowych. Dopiero na tym tle rozplanowuje dynamikę i snuje koncepcję, kryjąc swoją osobę w cień, a przesuwać punkt ciężkości na dzieło wykonywane.

Dla tego też w dyrygowaniu Coopera nie ma poży ani blagi, którym często kapelmistrze starają się zatuszować niedokładności w orkiestrze, nie umiając ich usunąć za pomocą podejścia do rzeczy od strony technicznej.

Stąd też orkiestra pod dyrykcją Coopera gra zawsze znakomicie.

Cooper dyrygował dwoma koncertami symfonicznymi Filharmonii: na pierwszym prowadził Giacommę Bacha w orkiestrowej przeróbce Casseli, koncert B-dur Brahmsa z Wilhelmem Kempffem jako solistą, „Uwariacje chromatyczne” Bizeta, sztukę z baletu „Milość” Morawskiego i uwerturę „Wielkocnota” Rimskiego-Korsakowa.

Nieznanie nam dotąd, fortepianowe „Wariacje chromatyczne” Bizeta, zainteresowane przez Feliksa Weingartnera — to utwór, gładko i zreżymie napisany, lecz nie pozostawiający głębszego wrażenia.

Muzyka baletowa, wykonana na estradzie, zasadniczo nie może dać właściwego pojęcia o dziele. Tym nie mniej suity z baletu „Milość” Eugeniusza Morawskiego słucha się z prawdziwym zainteresowaniem; zawiera ona bowiem dużo muzyki stanowiącej treść samą w sobie, i przede ciekawej nawet w oddzieleniu od pantomimy i akcji scenicznej.

Morawski jest kompozytorem o dużej wiedzy, czującym frazę orkiestrową; nie

stara się eksperymentować, natomiast wypowiada się jasno, w sposób pełen kultury i dobrego smaku.

O ile wyżej stoi ta kompozycja Morawskiego od muzyki tak renomowanego w świecie kompozytora francuskiego, jak Poulenc, którego „Rapsodie murzyńska” słyszeliśmy na drugim koncercie pod dyrykcją Coopera.

Solista Wilhelm Kempff, po raz pierwszy występujący w Warszawie, jest pianistą wysokiej klasy. Fortepian Bechsteina brzmi pod jego palcami znakomicie, a nie łatwa to sprawa, gdyż znajdujący się na estradzie Filharmonii instrument Bechsteina jest wyjątkowo ciężki w mechanicznie i matowy w tonie wobec czego nie każdy pianista potrafi dać sobie z nim radę.

P. Kempff grał koncert Brahmsa z wielkim temperamentem, chwiliami może że nawet zbyt wybuchowo, co jednak nie przeszkodziło mu wzorowo utracić we właściwe tempa; zwłaszcza ostatnią część koncertu, graną cokolwiek wolniej, olśniła słuchaczy ujęciem głównego tematu.

Na drugim koncercie pod dyrykcją Coopera słyszeliśmy prócz wyżej wymienionej „Rapsodii murzyńskiej” Poulenc'a, sztukę symfoniczną „Morze” Debussy'ego, „Ogniste go płaka” Strawińskiego, „Obrazy z wystawy” Musogorskiego w instrumentacji Ravela oraz koncert T. Z. Kasserna na sopran solo z orkiestrą, w którym partię wokalną odśpiewała p. Ewa Bandrowska-Turska.

T. Z. Kasserna należy do młodej generacji kompozytorów polskich (ur. w 1904 r.). Jakkolwiek w „koncercie” tym nie wszystko przekonywa logiką i naturalnością pomysłową, jednakże wiele miejsc tutaj świadczy o szczerzej inwencji, o poczuciu brzmienia orkiestry i o tym, że kompozytor rozumie znaczenie progresji przy narastaniu i opadaniu napięcia muzycznego.

Koncert Kasserna zaprezentowano tym razem w wysoce awanturnym wykonaniu, co jest zasługą zarówno orkiestry filharmonicznej i dyrygenta Coopera, jak p. Bandrowskiej.

Partia sopranowa w tym koncercie jest niesłychanie trudna pod każdym względem. P. Bandrowska posiada tak niezwykłą umiejętność władania głosem, z natury zresztą bardzo pięknym, że pokonywała najzawiślejsze trudności z łatwością i swobodą, wręcz zadziwiająco. Przy tym artystka posiada ten rodzaj talentu, że umie wdziękami swoim okrasić nawet najnieładniejsze zadanie. Nic więc dziwnego, że śpiewaczka zdobyła ogromny sukces u publiczności i zmuszona była dwukrotnie do dodatków nadprogramowych.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł. w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr.

Wydawca: TOW. WYD. „STER” sp. z o. o.

Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM.

Druk. B.-ci Wójcikiewicz, Warszawa

el-es